

B L U S Z C Z



E.

B.

WARSZAWA, 20 MARCA 1926 ROKU

OD ADMINISTRACJI

Prosimy o wpłacanie prenumeraty za drugi kwartał względnie za kwiecień r. b. Czeki P. K. O. dołączamy do niniejszego numeru.

NA CZEKACH PROSIMY WYMIENIAĆ OKRES, KTÓREGO PRENUMERATA DOTYCZY, ORAZ PODAWAĆ DOKŁADNY SWÓJ ADRES, A TO: IMIĘ, NAZWISKO, ZAWÓD, MIEJSCE ZAMIESZKANIA, ULICĘ, Nr DOMU I POCZTĘ.

DLA MIŁEJ ROZRYWKI

Balzac	Król cyganerii	zł. 5.50
Conrad	Smuga cienia	„ 1.95
„	Sześć opowieści	„ 1.95
Dickens	Opowieść wigilijna	„ —.95
Dumas	Dama Kameljowa	„ —.95
Gallet	Przygody Cyrana de Bergerac 2 tomy	„ 1.90
Gomulicki	Siódme amen	„ —.95
Grubiński	Nowele	„ —.95
Jokaj	Atlantyda	„ —.95
Junosza	Na bruku	„ —.95
Kraszewski	Ostatni z Siekierzyńskich	„ —.95
Leroux	Upiór w operze 2 tomy	„ 1.90
Ligocki	Powrót Beatryczy	„ —.95

London Martin Eden 4 tomy	zł. 3.80
„ Odszczepieniec	„ 1.95
„ Odyssea północy	„ —.95
„ Przygoda 2 tomy	„ 1.90
„ Przygody w zatoce	
San Francisco	„ 1.95
„ Serce Kobiety	„ —.95
„ Syn Słońca	„ —.95
„ Wilk Morski 3 tomy	„ 2.85
„ Wyga	„ —.95
„ Zew krwi	„ —.95
Machowiczowa „Zbiór Mono-	
gramów” z przesyłką	„ 5.—
Miciński. Wita	„ 8.—
Oppman. Stare miasto (po-	
zje r. I)	„ 5.—
Ossendowski. Płomienna	
północ	„ 6.50
Podręcznik gry Lawa-tenni-	
sowej	„ 3.80
Szelązek. Kwiat jabłoni (po-	
zje)	„ 4.—
Tetmajer. Anioł śmierci 2 t.	„ 1.90
„ Księżniczka Metella	„ 2.—
Twain. Król i osioł	„ —.95

NA SEZON WIOSENNY

Atlas ziół leczniczych	zł. 6.—
Atlasiki przyrodnicze (botaniczny, motyli, gąsiennic, ptaków i inne)	po zł. 2 i „ 3.—
Brzeziński	
Hodowla drzew i krzewów owocowych cz. I i II	„ 4.60
Hodowla drzew i krzewów owocowych cz. III (drzewa formowane)	„ 2.50
Hodowla warzyw	„ 6.50
Brzozowski	
Inspekt	„ 3.—
Chmielewski	
Zarys tech. mleczar.	„ 4.50
Dobrzański	
Rozpoznawanie chorób zwierząt domowych	„ 1.60
Domaniewski	
Z życia naszych ptaków (sikory)	„ 2.40

Garbowski. Choroby roślin	
rolnicz.	„ 10.50
Jankowski. Kwaciarstwo	
gruntowe	„ 6.50
Jankowski. Ogród wiejski	zł. 6.20
Kwiaty wiosenne	„ 10.—
Kwasieberski. Hodowla bydła	„ 3.—
Nehring. Cebula	„ 2.20
„ Kapusta	„ 2.20
Norkowska. Najnowsza kuchnia	„ 7.50
„ Piekarnia i cukiernia	„ 3.—
Trybulski. Gospodarski chów	
drobiu	„ 2.70
„ Kozy	„ 1.60
„ Króliki	„ 3.20
„ Kury	„ 11.50
Victorini. Hodowla drobiu	„ 3.60
Weber. Technika jajczarska	„ 4.—
Zacharski. Technika jajczarska	„ —.90

ORAZ WSZELKIE INNE
WYDAWNICTWA ROLNICZE

JAKĄ KSIĄŻKĘ CZYTA DZIŚ CAŁA WARSZAWA?

ANNIE VIVANTI

NAJA TRIPUDIANS

W świetnym przekładzie T. JAKUBOWICZA.

I nic w tym dziwnego, gdyż książka ta od pierwszej do ostatniej strony przykuwa uwagę czytelnika, przesuując przed oczyma szereg, barwnych obrazów i fascynujących epizodów z życia wielkomiejskiego.

P. ZUZANNA RABSKA. 7

Na łamach Kurjera Warszawskiego książka ta mówi:

„Mocno napisana i kunszownie zbudowana powieść, wyświetlająca wiele problemów etycznych, niepokojących dzisiejsze społeczeństwo.”

Cena zł. 3.—
Z przesyłką poleconą „ 3.50

Każdą z powyższych książek dostarczy odwrotną pocztą Dział Księgarski T-wa Wyd. „Bluszcz”. Przy łaskawych zamówieniach prosimy o wnoszenie części należności znaczkami pocztowymi. Koszty przesyłki wynoszą przeciętnie 15 gr. od tomu, plus 30 gr. polecenie za całą przesyłkę.

Adresować prosimy:

TOW. WYD. „BLUSZCZ” — DZIAŁ KSIĘGARSKI — WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 99.

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH
KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NA NO-
GACH, NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANĄ OD CZTERDZIEŚTU LAT ZE SWOJĄ
SKUTECZNOŚCIĄ, CZEGO DOWODEM SĄ
UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza E. SOKAŁSKIEGO w Kętach—Małopolska.



ROK LIX

TYGODNIKOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 20 MARCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Jakich nam trzeba herosów?—*Jankowska-Oryźyna*. Garść spostrzeżeń o kobiecie francuskiej—*M. Czapska* Boska Zuzanna i „Little Poker Girl”—*K. Muszałówna* Wiersze: „O zmierzchu”—*Lucjan André*. Myśl o tem co chcesz (c. d.)—*Helena Ceysingerówna*. Margrabina de Bois de Boulogne (groteska w 3 aktach (dok.)—*Magdalena Samezwaniac*. Podbój siedziby—*Rudyard Kipling* (tłum. Kozieli-Poklewska). Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawiszanka*. Nowe metody oświatowe—*H. Ceysingerówna*. „Połów” Hłakowiczówny—*Józef Jankowski* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Spowiedź publiczna—*C. Wolewska* Z teatrów—*Z. P. Dział* praktyczny: Mody i roboty. Najtańsze pantofelki. List z Paryża—*Sekwa*. Walka z wiatrakami mody na przełomie dwóch wieków—*Spero*. Reforma gospodarstwa domowego—*Felicja Sachśówna*. O wychowaniu naszych najmłodszych—*W.* Z kuchni wielkopostnej naszych praprababek—*K. Bielańska*. Święta wielkanocne za tydzień—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jaremką i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

JAKICH NAM TRZEBA HEROSÓW?



yobraźmy sobie najpiękniejszą choćby damę w bryklach, sznurówce, sajetach staromodnych, które nie zasłużyły jeszcze na stylowość, pojawiającą się w limuzynie, aeroplanie, tramwaju. Śmiech na sali! Moda nas nauczyła śmieszności i nieporadności anachronizmów, ale tylko w dziedzinie toaletowej.

Nasza umysłowość nie wstydzi się chodzić w przestarzałych sznurówkach i boi się zimnej wody i swobodnych ćwiczeń.

Trzeba mieć odwagę powiedzieć sobie, że rzeczy najcudniejsze, ideały, pieszczone w snach pokoleń, przeżywają się, że to, co jeszcze w dzieciństwie było dla nas najszlachetniejszym drogowskazem dnia, dzisiaj trzeba złożyć do szanownego lamusa i pod złoczone witryny.

Dziś trzeba postawić na wysokim piedestale patriotyzm pracy, o którą Polska woła.

Niechaj przesunie się przed oczami defilada urzędów, w których włóczęją się senni urzędnicy, pełni najlepszych chęci, ale zniechęceni złą organizacją.

Spójrzmy na tysiące bezrobotnych, na inteligencję zawodową, która ucieka poza granicę kraju, żeby nie ginąć z głodu. Czy ludzi mamy za dużo, że nie możemy ich wyżywić? Setki, tysiące pra-

cowników fizycznych i umysłowych ginie z powodu bezrobocia. Czyżby w Polsce nie było nic do roboty?

W miastach sroży się kryzys mieszkaniowy, czyż nie potrzeba już budować domów? Rok rocznie, główna arterja kraju, Wisła wylewa, rok rocznie straszna klęska powodzi niszczy olbrzymi dobytek. Czy Wisła jest uregulowana, nie mówiąc o rzekach pomniejszych?

Obszary nieużytków błot, łąk kwaśnych wynoszą setki tysięcy hektarów. Czy każdy kawałek ziemi jest racjonalnie eksploatowany? Czy fabryki nasze mają nowoczesne urządzenia i maszyny? Czy miasta nasze korzystają wszystkie z elektryczności, kanalizacji, wodociągów, tramwajów? Czy mamy dostateczną ilość szkół? Dostaje się zawrotu głowy od tej otchłani nędzy, brudu, braku najprymitywniejszej kultury, w której tkwi nasz naród. Pracy tu trzeba, wytrwałego wysiłku, zmagającego się z żywiołem, nędzą, brudem, ciemnotą.

Takich nam trzeba przede wszystkim bohaterów, herosów, w których kobiety powinny się kochać na śmierć i życie i na ich wzór dzieci wychowywać. Zresztą same powinny być bohaterkami tego nieodzownego dla Polski gatunku nowego patriotyzmu.

„Praca organiczna”, która była zatechłem hasłem niewoli, dziś innego swobodnego nabrała akcentu.

Trzeba nam kultu pracy, bo ona tylko jest źródłem dobrobytu, kultury, a i niezależności i obrony, czerpiącej dzisiaj moc swą w technice.

St. Brzozowski, jeden z najtęższych polskich myślicieli, dojrzał piętę Achillesową naszej kultury w upośledzeniu pracy. Była bowiem kultura nasza rycerską i szlachecką i poza porywami bohaterstwa-próżniaczą.

Istotny pracownik, który na barkach swych kraj dźwigał, chłop, złote ziarno do Gdańska sypiący, był bezimiennym niewolnikiem, poddanym...

Przemysł, handel i rzemiosło mieliśmy w pogardzie, kultura, sztuki piękne i nauki nie wykwiwały żywiołowo z pracy rodzimej, ale importowane były z krajów zamorskich, jak zbytek wraz z bławatami, jedwabiami, winem i kobiercami. Stąd powierzchowność, która się sroży dziś, stąd powłoka lekka, a nie gruntowność naszej natury. Wszystko to się dziś jeszcze mści krwawo w dziedzicznej nieumiejętności organizowania pracy.

Dlatego kult jej jest koniecznością, dlatego jej propaganda powinna kroczyć przede wszystkim ubrana w najświetniejsze kolory. Trzeba wpajać szacunek do pracy dzieciom, przedstawiać ją jako

ideał, zaznajamiać i zachęcać do niej zabawką odpowiednią i bajką. Uczynić ją nie niewolą i męką, tylko posłannictwem, twórczością i pięknem. Trzeba też konsekwentnie dążyć do tego, ażeby życie pracowników nie było przekleństwem i było otoczone najwyższymi przywilejami i splendorem, bo same piękne słowa tylko są fałszem. Przeciwnie typ próżniaka, nie wytwarzającego nic, a tylko korzystającego z cudzej pracy, powinien być odarty z aureoli snobizmu.

Praca powinna odpowiadać zamiłowaniu i zdolnościom, wtedy będzie istotnie produkcyjną. Pracuje na tem psychotechnika i psychologia eksperymentalna, ażeby na mocy określenia zdolności jednostki ułatwić jej wybór zawodu. Na zdolnym robotniku, pracującym z powołania, zyskuje kraj. Organizacja pracy i higiena pracy dążą do stworzenia ludzkiej racjonalnej wydajności. Wszystkie te zagadnienia dopiero zaczynają interesować nasze społeczeństwo.

W czasach niewoli wszystko co w kraju najlepsze marzyło o pałacu, dzisiaj, nie pozbywając się stałej myśli o obronie kraju, czas przenieść punkt ciężkości zainteresowań na zagadnienia twórcze i wytwórcze.

Jankowska - Oryżyna

GARŚĆ SPOSTRZEŻEŃ O KOBIECIE FRANCUSKIEJ



Najbardziej chyba pouczającym zajęciem dla cudzoziemca, to obserwacja obcego kraju, w którym się znajduje: jego życia, obyczajów, tradycji.

Ze szczególnem zainteresowaniem przyglądam się kobiecie w Paryżu, czy to skromnym, a zawsze starannie upudrowanym „midinetkom”, które w godzinach południowych tłumnie wylegają na ulicę, czy to energicznym sklepikarkom i straganiarkom bulwarowym, o bujnych kształtach i typowym „chignon” na wierzchu głowy (owym „chignon”, stojącym poza zmiennymi fluktuacjami mody), czy to kobietom z średniej i wyższej burżuazji, jaskrawo umalowanym klientkom artystycznych kawiarni, czy też damom z wielkiego świata...

Niestrudzona pracowitość, bystrość spojrzeń, szybkość ruchów, pewność siebie... Jakżeż często ręczna robótka pojawia się w ich rękach nawet w tłoku podziemnej kolei, ile razy spostrzegłam ją również na kolanach urzędniczki bankowej, lub handlarki ryb i owoców — systematyczne wyzyskanie każdego „momentu perdu.”

Ogólne wrażenie odniesione, nawet z tych przelotnych obserwacji, to że kobieta francuska wie czego chce i do czego dąży, wie lepiej i dąży aktywniej od naszych pań i panien kapeluszkowych i chusteczkowych.

Co najbardziej charakteryzuje wolną kobietę w Paryżu, to jej stosunek do kwestji erotyzmu. Te zagadnienia, jak i wiele innych spraw życiowych,

rozstrzygane bywają tutaj prędko i kategorycznie: tak, albo nie, dzięki temu technika kokieteryj kobiecej jest bardzo uproszczona, odpadają tajemnicze uśmiešky, minki i inne sztuczki, odpada także, naturalnie, wszelki pozorny, lub istotny, „wstyd dziewiczy”; wzajemny stosunek obu płci jest znacznie prostszy i naturalniejszy, niż u nas, a zachowanie kobiety bardziej indywidualne. Równe są tu także wymagania stawiane młodzieży tak żeńskiej, jak męskiej przed ślubem, a raczej brak owych wymagań. Sami zresztą Francuzi, przez usta wybitnego krytyka literackiego E. Jaloux, przyznają się do tego, że miłości nie traktują „sakramentalnie”, jak to czynić zwykli Słowianie, co zresztą odbija się z małymi wyjątkami na całej ich literaturze.

Swoboda obyczajów przed ślubem nie wyklucza jednak dobrych i wiernych małżeństw, które naogół bywają zawierane w celach wzajemnej korzyści, jasno określonej i gruntownie obmyślanej, a jako takie są podobno trwalsze, niż małżeństwa z miłości. Kobieta żona bierze po ślubie na siebie całą odpowiedzialność za ognisko domowe, w jej rękach gromadzą się fundusze rodzinne, jej niestrudzoną pracą dzieje się wszystko w domu — i tylko bardzo zamożni ludzie pozwalają sobie na usługę.

W sferach wyższej burżuazji, a głównie w środowiskach religijnych, przechowały się w znacznej mierze dawne tradycje w stosunku do kobiet. Do zamążpójścia mają one bardzo mało swobody, nawet wśród młodzieży akademickiej istnieje podział pomiędzy kobietami i mężczyznami (osobne biblio-

teki przy domach akademickich, osobne kółka ideowe). Przy uroczystych obchodach i pogrzebach ceremoniał francuski żąda również tego podziału, dając pierwszeństwo mężczyznom. Kobieta zameżna zajmuje tutaj podrzędne stanowisko, nie przekraczając pozornie granic przeznaczzonego sobie pola działania, na przyjęciach tworzą się osobne kółka, albo panowie mówią między sobą o sprawach ogólnych, panie zaś przysłuchują się, nie biorąc udziału w rozmowie.

Być może, że powodem tego stanu rzeczy, który się nie daje zauważyć u nas, jest polityczne nierównouprawienie kobiety, może jednak samo to nierównouprawienie jest jego skutkiem; każde prawo musi być zdobyte, czyż więc kobiety francuskie nie chciałyby, czy nie umiały, praw równości dla siebie wywalczyć?

Uderzona zachowaniem mężczyzn wobec kobiet na pewnym prywatnym zebraniu literackim spytałam się o zdanie w tej sprawie pięknej i mądrej pani C. Boas de Jouvenelle niestrudzonej działaczki społecznej i damy z wielkiego świata.

„Kobieta inteligentna i szanująca się ma we Francji duże znaczenie, odparła mi moja interlokutorka, i może zasadniczo wpływać na swoje otoczenie, im więcej jednak dba ona o swoje stanowisko, tembardziej je ukrywa. Mężczyźni nasi są bardzo ambitni, nie lubią ustępować ze swoich praw, żądają od nas przede wszystkim kobiecości, wskutek tego musimy zawsze zachować wobec nich pozory uległości, co jednak istotnej naszej pracy i wpływów nie ogranicza...”

Przy tych słowach stanęły mi w pamięci niektóre typy naszych polskich działaczek społecznych, kobiet wyzwolonych z pod „jarzma” męskiego, tak niezdolnie wyzyskujących swe stanowisko, tak nieraz nietaktownych, a w gruncie rzeczy jakże niezaradnych!

Pani de Jouvenelle jest jedną z tych pięknych kobiet francuskich, które umieją łączyć urok i wyszukaną elegancję z rzadkimi zaletami umysłu i serca. Idąc śladami sławnej pani Rolland przyjaciółki Żyrodystów i pani Récamier z doby Restauracji, ma ona jeden z pierwszych salonów politycznych w Paryżu, gdzie przyjmuje od królów i wielkich mężów stanu, do skromnych „députés”, uczonych i artystów, jeżeli się jej do czegoś w jej planach nadają. Niejedna ważna sprawa została rozstrzygnięta pod jej auspicjami i pod jej bezpośrednim, choć taktownym naciskiem, szczególnie zainteresowanie pani de Jouvenelle zdołała zyskać Czechosłowacja, która podobno wiele zawdzięcza swej możnej orędowniczce.

Kapitałnym jednak jej dziełem to stowarzyszenie „La Bienvenue Française”, za-

wiązane w celach wymiany intelektualnej i moralnej pomiędzy narodami. Pani de Jouvenelle jest założycielką Stowarzyszenia, jego duszą i osiá; jako gorąca patriotka oddała się całkowicie idei zbliżenia innych narodowości do Francji, zaznajomienia cudzoziemców z jej prawdziwą elitą w celu zyskania jej przyjaciół i sprzymierzeńców. Rozległe stosunki w przeróżnych sferach i znaczny majątek—to jej narzędzia.

W salonie swym, otoczona licznym gronem gości i przyjaciół, żywo przypominała mi wodza, kierującego walną bitwą. Każde posunięcie, dokonane na jej perskim dywanie, jest celowe i zgóry obmyślane.

„Bienvenue Française” przyjmuje grupy i wyściczki cudzoziemców, oraz poszczególne osoby, polecane jej przez ambasadę danego kraju, urządza przyjęcia towarzyskie, organizuje koncerty, udziela wszelkich możliwych informacji. Cały szereg sekcji odpowiada wszystkim działom życia kulturalnego Francji i może zadowolnić ludzi najróżniejszych zawodów. Studenci są skierowywani pod opiekę specjalistów obranego działu naukowego, turyści poleceni licznie po kraju rozsianym filjom paryskiego biura. Dodać trzeba, że centralny urząd „Bienvenue”, jej serce i głowa, mieści się w dwóch pokojach, a obsługują go cztery kobiety: p. de Jouvenelle i trzy jej sekretarki.

W ostatnim roku przyjęła „Bienvenue” koło sześciu tysięcy osób, w roku bieżącym liczy już zgłoszeń na siedem tysięcy. Cudzoziemcy zachwyceni francuską gościnnością zakładają w niektórych krajach komitety, odpowiadające „Bienvenue” paryskiej, zawsze za inicjatywą i współudziałem p. de Jouvenelle. Obecnie pragnie ona z kolei włączyć w zakres swej działalności także i Polskę, licząc na poparcie nowej ambasadorowej francuskiej, blisko z nią zaprzyjaźnionej, p. Laroche.

Podziwiając niezwykłą energję tej rzadkiej kobiety, spytałam, czy jej nie nuży wir życia światowego, którego żąda od niej jej praca i stanowisko. „Nigdy, odparła, to mój żywioł, moi współcześni do głębi mnie interesują, razem z nimi czuję się w życiowym prądzie naszej epoki, zresztą, dodała, przyczynianie się do zgody i porozumienia, to przeznaczenie kobiety.”

„My rządźmy światem, a nami kobiety” wyznał niegdyś w imieniu rodzaju męskiego Ignacy Krasicki, zaś francuskie przysłowie powiada „Chercher la femme!”

„Czy nie mylił się biskup Warmiński czy nas nie zawodzi przysłowie? Na to pytanie mogłoby dać wyczerpującą odpowiedź tylko zbiorowe doświadczenie wielu mężczyzn i kobiet i to z różnych epok historycznych.

M. Czapska.



BOSKA ZUZANNA I „LITTLE POKER GIRL”

Nie ulega wątpliwości, że z pośród dużej liczby, uprawianych przez kobiety sportów — dwa z nich są najbardziej dla pań odpowiednie. Sportami tymi są: pływanie i tenis.

W pływaniu — zdołały panie osiągnąć rezultaty, których granica zbliża się poważnie do najlepszych wyników męskich. Pod tym względem — w każdym innym sporcie, którego wyniki dadzą się zmierzyć,

bądź centymetrem, bądź chronometrem, różnice pomiędzy najlepszymi wynikami męskimi i damskimi są znacznie większe — na korzyść, oczywiście, panów. Nadmienić przytem wypada, że pływanie w stopniu wysokim przyczynia się do harmonijnego rozwoju ciała, że wymaga jednoczesnej zgodnej współpracy wszystkich mięśni.

Drugim sportem, którego popularność wśród

pań stale wzrasta, a wartości wychowawczo-atletyczne którego stale idą w górę — jest tennis. O ile początkowo, przed laty, uważano tennis za rozrywkę towarzyską, za grę o charakterze przyjemności, o tyle z biegiem czasu, nie uchybiając zupełnie wymienionym zaletom, zaczęto odkrywać w tenisie poważne wartości atletyczne, pierwiastki sportu o dużym znaczeniu wychowawczym.

Istotnie — sport tenisowy wymaga od swych adeptów dużych umiejętności z zakresu zarówno fizycznego, jak i umysłowego. Tennisista musi mieć dobrze wyrobione nogi, bieg bowiem i umiejętność doskakiwania do piłki są nieodzownym warunkiem dobrej gry, wymaga — dalej — dużej siły fizycznej, zręczności, ogólnego wyrobienia sportowego, polegającego na wytrzymałości fizycznej, wymaga także znajomości i umiejętności stosowania pewnej taktyki w walce — grze, wykorzystywania słabych stron przeciwnika, — jednym słowem — znajomości strategii tenisowej.

Popularność tenisu męskiego nie przewyższa w żadnym razie popularności damskiego. W tenisie bowiem — zarówno pod względem techniki, jak strategii, jak wreszcie estetyki — gry tenisowe pań są równie interesujące, równie ciekawe, równie piękne — jak spotkanie panów.

Widzimy tedy dość wyjątkowe w sporcie zjawisko: naogół konkurencje panów uważane są powszechnie za nierównie od damskich ciekawsze, bardziej emocjonujące, więcej z punktu widzenia — że się tak wyrazimy — filozofii wysiłku — wartościowe. Inaczej jest w tenisie i pod tym względem tennis damski odosobniony jest całkowicie od innych sportów, przez panie uprawianych.

Wobec owych zalet tenisu damskiego i wobec ustawicznie wzrastającego zainteresowania sportem tym przez polski element kobiecy, postaramy się w artykule niniejszym omówić sytuację w tenisie kobiecym na terenie międzynarodowym, specjalnie zaś zajmiemy się ostatnim, przez świat cały komentowanym, spotkaniem dwóch najlepszych tenisistek świata, Francuzki, m-lle Zuzanny Lenglen i Amerykanki, miss Heleny Wills.

Anglja, jak wiadomo, jest ojczyzną sportu tenisowego. A jednak Anglja nie jest krajem, który dzierżyłby w rękach swoich graczy pierwsze miejsce, jeśli nie w świecie całym, to przynajmniej w Europie.

Jeśli chodzi o tennis męski — do pierwszego miejsca w tenisie międzynarodowym — od lat paru pretendują Francuzi i Amerykanie (Stany Zjednoczone), przytem ci ostatni — ostateczną walkę wygrywają. Na kontynencie europejskim bez konkurencji są Francuzi.

W damskim tenisie — od długiego szeregu lat, całej falandze świetnych tenisistek całego świata przoduje Francja, posiadająca fenomenalną tenisistkę, Zuzannę Lenglen, niezwykłą od kilku lat przez nikogo.

Rzecz prosta — o wyrwanie owej palmy pierwszeństwa z rąk Lenglen kusiły się najznakomitsze obok Lenglen nazwiska tenisowe. Najwięcej, najuparciej, najwytrwalej wszakże, próby owe czyniła Ameryka. Lecz wszystko napróżno. Zuzanna Lenglen, osiemnastokrotna mistrzyni świata, dziesięciokrotna mistrzyni Francji, dwukrotna mistrzyni olimpijska (w latach 1916 i 1920), prawdziwy wirtuoz rakiety, stała ponad wszelką konkurencję, a wszystkie próby wyrwania z jej rąk hegemonii tenisowej umiała

z lekkim uśmiechem sprowadzać do zwycięskiej dla siebie gry w dwóch setach.

Francja, kraj umiejący kochać tych, którzy laury zbierają dla niego na międzynarodowych rynkach świata, dała Zuzannie w nagrodę — rzecz, dla śmiertelnych tem cenniejszą, iż graniczącą z nieśmiertelnością, dała Zuzannie — sławę.

Niewielu sportowców jest tak popularnych, tak znanych i tak bardzo kochanych przez olbrzymie rzesze, jak Lenglen. Lenglen — królowa rakiety, bóstwo Paryża, uosobienie zwycięstwa, wcielenie żywej, błyskotliwej, pięknej gry łacińskiej, Lenglen — której możliwość przegranej jest poza sferą myślenia Francuzów.

Po wielu nieudanych próbach — odkryto przed dwoma laty nowy talent tenisowy. Młodzianka Kalifornijka, dla swej zimnej krwi, zawsze uśmiechniętej twarzy i spokojnej równej gry — zwana „little poker girl“, osiemnastoletnia miss Wills zdobywa przed dwoma laty poraz pierwszy mistrzostwo Ameryki.

Wysłana w r. 1924 do Europy, młoda miss odnosi w Wimbledon generalne zwycięstwo, a w tymże roku na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu — zdobywa tytuł mistrzyni olimpijskiej.

Niestety, Zuzanna Lenglen w ciągu roku 1924 nie brała czynnego udziału w spotkaniach tenisowych. Ambitna, muśnięta już skrzydłem sławy, kalifornijka, nie miała przeto okazji spotkać się z tą, którą świat cały uważał nadal za najlepszą tenisistkę świata, aczkolwiek przecież mistrzostwo olimpijskie zdobyła ona, Wills.

Zwycięstwo olimpijskie p-ny Wills zabarwiło perspektywy amerykańskie na kolor silnie różowy. Zdawało się opinii yankesów, że porażka Lenglen w spotkaniu z Wills jest rzeczą oczywistą, że zwycięstwo gwiazdzistego sztandaru nad kontynentem starego świata jest więcej jak pewne.

I oto, pod wpływem opinii publicznej świata sportowego, pod presją własnej ambicji sportowej, młodzianka miss Wills przed kilkoma tygodniami wsiada na okręt, który wiezie ją na Jasny Brzeg, stanowiący w okresie zimowym międzynarodowe rendez-vous najlepszych tenisistów Europy.

Lenglen, bawiła wówczas na Jasnym Brzegu i odnosiła zwykłe swoje łatwe zwycięstwa. Na turnieju w Cannes, w którym obie panie — Lenglen i Wills udział biorą, obie dochodzą do finału. I oto nieuniknionem staje się — rozegranie tego oddawna wyczekiwanego spotkania, nieuniknionem rozstrzygnięcie pytania, kto zdobędzie w walce na rakiety tytuł królowej tenisu. Spotkanie wyznaczono na dzień 16 lutego b. r.

Od wczesnego rana olbrzymie tłumy zalały wszystkie miejsca na trybunach. Wokoło ogrodzenia, na okolicznych drzewach, okna i balkony w pobliskich domach upstrzone zwartą masą różnokolorowych widzów. Przy okienkach do kas — napróżno duszą się w niewiarygodnym ścisku niezliczone masy tych, dla których biletów już zabrakło.

Ogólnie przewidywano zwycięstwo Lenglen. Innego zdania byli jedynie Amerykanie. Elegancka, międzynarodowa publiczność, zalegająca trybuny, w równym stopniu, choć w niejednakowej formie, wyraża zdenerwowanie, niepokój, sympatię dla tej, lub innej strony.

Od pierwszych już piłek uwydatnia się różnica w sposobie gry obu tenisistek. Lenglen — prawdziwa tancerka, jest wszędzie, w nieustannym ruchu,

przewija się po całym placu tenisowym, improwizuje cudowną grę, pełną temperamentu, nieoczekiwanych ataków, świetnej obrony. Posiada nieomal baletową technikę nóg, cudowną brawurę, doskonałą taktykę, królewskie panowanie nad piłkami. Jedyną jej wadą łatwość denerwowania się.

Amerykanka, trochę ciężka, mniej ruchliwa, posiada zadziwiający, lekko uśmiechnięty spokój. Gra nadzwyczaj regularnie i pewnie. Owym spokojem zyskuje pewną przewagę nad Lenglen. Pozatem — w technice, w taktyce, lekkości i ruchliwości ustępuje Zuzannie. Nie zachwyca widza, tak jak Lenglen, swą bajecznie efektowną, czarodziejską, improwizowaną grą, nie potrafi ująć widza, jak Lenglen, wdziękiem i pięknem gry.

W pierwszym secie Lenglen wygrywa łatwo w stosunku 6:3. Przewaga „boskiej Zuzanny” jest tak oczywista, tak bijącą w oczy jest umiejętności wykorzystywania przez nią słabych stron przeciwnika, że szala ostatecznego jej zwycięstwa idzie szybko w górę. Zuzanna, zorientowawszy się, że Wills na placu jest dość nieruchliwa, zamęcza ją umiejętnie plasowanymi piłkami.

Set drugi. Zuzanna, jak gdyby zdziwiona łatwym swym zwycięstwem w pierwszym secie, jest dziwnie zdenerwowana. Wills — pomimo przegranej seta, wykazuje zadziwiający spokój. Ów stan psychiczny obu tenisistek odbija się w cyfrach na przebiegu drugiego seta, który Zuzanna wygra wprawdzie, lecz

z trudem bez porównania większym. Rezultat cyfrowy 8:6 wykazuje to wymownie. Boska Zuzanna, która zwyczajem swoim oddawała przeciwnikom swoim w secie w najlepszym razie 2—3 game'y, oddała ich p-nie Wills aż 9! Nie dorosła jednak Wills do tego stopnia doskonałości gry w tenisie, aby móc odebrać Zuzannie seta. W dwóch setach skończył się pojedynek najlepszych tenisistek świata bezspornym zwycięstwem Lenglen.

Po meczu, boska Zuzanna zdziwiła wszystkich swym zdenerwowaniem i pewnym niezadowoleniem (!) z wyniku, a amerykańska „little poker face” poraz pierwszy chyba w życiu nie umiała zatamować ciężkich łez, jakie jej z oczu spływały.

Smutna to rzecz widzieć, jak w szarą mgłę rozplývają się najdroższe sercu złudzenia o zwycięstwie...

Spotkanie Lenglen — Wills dowiodło światu całemu, że boska Zuzanna pozostaje i nadal królową tenisu światowego, a zdetronizowanie jej nie jest łatwym zadaniem. Młodzianka miss Wills jest pierwszą damą dworu królowej tenisu.

Zapewne m-lle Lenglen nie jest wieczną, a co ważniejsze, pod względem wieku, p-na Wills bije swą królową bezapelacyjnie.

Szkoda wiec łez, dzielna córo yankesów, nie dziś, to za parę lat pokona Zuzannę wróg, od ciebie postokroć silniejszy, na imię mu — Cz a s.

K. Muszałówna.

LUCJAN ANDRÉ

O ZMIERZCHU

*O szarym zmierzchu, kiedy sercu jak sierocie
Między swoimi pusto bywa i bezdomnie,
Zadumasz się głęboko i — pomyślisz o mnie,
Idąc w las ciemny, gdzie już nie kwitną paprocie.*

*Kiedy to będzie? — Nie wiem... Sny, kwiaty i drzewa
Do życia budzi słońca wiosenna szczodrota.
Ale ty miałaś serce! W ciemnicy żywota
Serce ludzkie, jak owoc na słońcu dojrzewa.*

*Nie wiem, kiedy to będzie... Człowiek zapomina,
Czas mija bezpowrotnie... drzemią serca strażę...
Ale nieraz na życiu przedziwnym zegarze
Bije miniona dawno, stracona godzina.*

*Natępne wspomnień ptaki myśl twoją owioną
Przeczuciem bezszelestnych skrzydeł. — I w przestrzeni
Ujrzysz zarysy dziwnych, bezimiennych cieni
I własną postać cichą, białą, zamyśloną.*

*Więc czując się romansów jakby bohaterką, —
W światłocieniu uśmiechów i łez zagadkowych
Heroiną tragicznych konfliktów sercowych, —
Z przyzwyczajenia spojrzysz w.. przyboczne lusterko.*

*I w ciemnym lesie myśli błędząc, — ze ścian domu
Pustego wyjdiesz w ogród zmierzchający cudnie, —
I przypomnisz ostatnie nasze popołudnie,
I list mój ucałujesz we łzach, — pokryjomu.*

*Lecz oto nagle cienie, jakby drzew szpalery,
Rozsuną się w dalekie przeszłości aleje,
I rząd lamp kolorowych w mroku zajaśnieje,
Jak w fantastycznej scenie z prastarej opery.*

*Zaszumią drzewa parku, zapłaczą fontanny,
I w kolorowe błyski przystroją się liście.
Pójdiesz długą aleją lekko, uroczyście,
Jako lilji cień smukły, biały, nienaganny.*

*Miękkie, pieściwe tony zwiewnej barkaroli
Zwolna cię ponad ziemię jak we śnie uniosą, —
I powierzysz się cała bezgwiezdny niebiosom,
Gdzie wiekuistym światłem jest to, co tak boli.*

*Wówczas od fali wzruszeń twarz ci nieco zblednie,
Stygając w maskę skupienia dziecinnie surową, —
I spostrzeżesz, że wszystko jest jakby na nowo
Takie zwykłe, — a przecie takie niepowszednie.*

*Lecz dopiero nazajutrz, szperając w szufladzie,
By odnaleźć tam prochy młodzieńczych pamiątek,
Pojmiesz wszystkie bolesny skrytych marzeń wątek,
Snujący się skroś przedzę rozmyślań w bezładzie.*

HELENA CEYSINGERÓWNA

MYSŁ O TEM CO CHCESZ

(nowela)

Niepokojem i niesmakiem napełniła mnie ta rozmowa. Był to poprostu dalszy ciąg śledztwa, a ja niepotrzebnie zaakcentowałam zbrodnię Syrucia.

Dokładnie jednak powtórzyłam treść rozmowy panu Tomaszowi, który, uprzedzony przez dzieci, wyszedł naprzeciw mnie.

— Niech pani nie wspomina o tem mojej żonie! po co ją denerwować? Będzie, co być ma.

— A dzieci?

— Dzieciom już zakazałem.

I ze spuszczoną głową poszedł do obór i stajen. Szedł olbrzymi, pochyły, Syzyf polski, świadomy, że głaz, który toczy pod górę, przywali go w końcu swym ciężarem ..

I znów cisza była przez parę miesięcy. Kilka razy jeszcze spotkałam rotmistrza żandarmerji na naszych wycieczkach. To bryczką, to konno, to na gościńcu, to w drodze do stacji kolejowej.. krążył dokoła Zalesia. I zawsze zatrzymywał się dla rozmowy ze mną, a wśród komplementów na temat mego wyglądu, moich życiem pałających, oczu i t. p. czaiły się podstępne pytania, śledcze manewry, żandarmski gest. Znienawidziłam go.

Zbliżała się wiosna.

— To najgorsza pora roku — mówiła babunia.

A gdy pytałam dlaczego, ja, co tak kochałam wiosnę ..

— Dla nas tylko, dziewczeczko, dla nas! Wiosna — to pora najboleśniejszych rocznic. Z Marynią zawsze w tym czasie jest najgorzej.

Dowiedziałam się potem od służby, że w maju młodsza pani wyjeżdża zawsze do Kowna, na miejsce stracenia... że w tej podróży nie pozwala sobie towarzyszyć nikomu, a wraca zmieniona, chora, postarzała...

— Ależ to już późno!...“ porwała się nagle panna Klementyna. — „Ta pasja opowiadania! to mnie gubi!“

I, złożwszy szybko robotę, zabrała się do grzania wystygłej znów herbaty.

.....

— „Nie wiem, doprawdy, czy opowiadać dalej? Wiatr tak szumi boleśnie, jakby i on żałował...“

— Opowiadać! Opowiadać! — prosiłam.

Ale p. Klementyna wpadła w zamyślenie i po chwili dopiero rozpoczęła cichym, drżącym nieco głosem.

„Jakaż to cudna była wiosna! Nigdy już potem nie widziałam tylu naraz kwiatów. Przez zieleń łąk nad strumieniami biegły złote gościńce kaczęćców, dokoła dworu woniały narcyzy, przepyszną łąką barw gorzały tulipany, jak olbrzymi bukiet, rzucone na trawnik, pośrodku dziedzińca. A przecież plamą żalobną położyła się ta wiosna na mojem życiu i na życiu ludzi, z którymi sprzęgły mnie losy.“

Jakoś w połowie maja spytałam dzieci przy śniadaniu.

— Czy mama jest w swoim pokoju?

— Mama pojechała do Warszawy — odpowiedziała Zosia cichutko i jakby przez łzy.

Nie pytałam już dalej.

Tego samego dnia, idąc gościńcem do wielkich łąk, położonych po drugim brzegu rzeki, spotkałam i pędzącą bryczką Einhorna.

Kazał zatrzymać konie i wyskoczył.

— Czy to prawda — zwrócił się do mnie, tym razem bez żadnych wstępów — że pani Wazgirdowa wyjechała do Kowna?

Spojrzałam nań zdumiona i oburzona.

— O ile wiem, pojechała do Warszawy — odpowiedziałam chłodno, hamując gniew i wstręt.

Rotmistrz roześmiał się, wskoczył z powrotem na bryczkę i popędził w stronę stacji kolejowej.

Gdy p. Tomaszowi zdawałam, jak zwykle, sprawę z tej rozmowy, przeraził się i poszedł na naradę do matki.

Panna Klementyna zamyśliła się znów, poczem mówiła z westchnieniem.

— „Nie zapomnę nigdy tej chwili, gdy Zosia powiedziała:

— Ach, panno Tyno, tak mi strasznie niedobrze! Ja chyba umrę..“

Twarzyczkę miała zieloną, czarne plamy pod oczami i trzęsła się cała od przejmującego ją dreszczu. Rozebrałam ją jaknajprędzej, położyłam do łóżka i pobiegłam zawiadomić babunię.

Było to w kilka dni po wyjeździe pani Marji.

Pani starsza, jak zwykle w takich wypadkach, naparzyła ziół, napoiła maleńką kwiatem lipowym z jakimś sokiem; z innych ziół zrobiła jej okłady i Zosia usnęła... Ale jakież to był sen! Dziecko rzucało się, zrywało, odpychało od siebie widziadła, jęczało przez sen. Siedziałyśmy przy niej, obydwie wstrząśnięte do głębi i zaniepokojone śmiertelnie. Naraz mała otworzyła oczy i, patrząc nieprzytomnie, zawołała.

— Syruc tu był!

— Boże miłosierny! — jęknęła babka.

Wzięłam dziewczynkę za rękę. Rozpalona była i sucha. Po dreszczach nastąpiła widać silna gorączka.

Uchwyciła konwulsyjnie moją rękę.

— Niech pani nie odchodzi! niech pani mnie trzyma! On się pani boi — potem kilka razy zawołała przez sen: mamol! mamol!

P. Tomasz posłał do najbliższego miasteczka po lekarza. Był to znany dziwak i brutal. Miał zwyczaj mówić co parę wyrazów: „proszę bardzo“. Przyjechał w nocy i orzekł, że to prawdopodobnie zapalenie mózgu, kazał robić okłady z lodu na głowę i poszedł spać. Rano raz jeszcze obejrzał chorą.

— Czyście to dziecko zbili? — spytał obcesowo. Zaprzeczyłam oczywiście.

— Proszę bardzo! Więc cóż to jest?! wstrząs nerwowy? Djabli nadal! proszę bardzo!.. Nie lubię! nie lubię!

Zapisał środki uspakajające, zalecił ciepłą kąpiel.

Wtem Zosia, która tego ranka nie miała wcale gorączki, zerwała się i, patrząc dziko w kąt pokoju, wołała straszonym głosem.

— Syruc tu jest! Niech pani mnie nie daj!

Pobiegłam do niej, zastawiłam ją sobą, gładziłam jasne włosy, zapewniałam, że niema tu nikogo prócz mnie i pana doktora...

Uspokoiła się po chwili i zupełnie przytomnie powiedziała.

— Widziałam go tak, jak wtedy, za szybą...

— Któż to Syruc?... tubalnym głosem pytał
doktór.

— To stary człowiek, którego się te dzieci
bardzo boją.

— Boją się, boją! Ale dlaczego się boją! Proszę
bardzo!

— To wróg rodziny!—mówiłam zmieszana, nie
wiedząc, co mówić można, czego nie trzeba.

Doktór popatrzył na mnie badawczo i powiedział
tylko:

— Proszę bardzo!

Wtem weszła babunia.

— Nie zostawiać tego dziecka ani na chwilę
samego! I posłać po matkę! Proszę bardzo!

A potem powtórzył jeszcze kilka razy.

— Nie lubię! Nie lubię!

I pojechał.

Babunia pozostała przy Zosi, a ja wyszłam do
kuchni, by zarządzić zaleconą przez lekarza kąpiel.
Gdy przechodziłam przez izbę czeladną, podeszła
do mnie jakaś kobieta w chustce na głowie. Z prze-
rażeniem poznałam córkę Syrucia.

— Panienko — rzekła — proszę na chwilę!
Mam coś ważnego powiedzieć.

Zaprowadziłam ją pośpiesznie do swego pokoju.

— Gdzie młoda pani?—spytała nie-
spokojnie.

— Wyjechała.

— Ach, mój Boże, mój Boże! Pa-
nienko — nieszczęście! Młoda pani jest
w więzieniu!

— Co pani mówi?—zawołałam. — Skąd pani wie?
— Cicho! Od samego czarta wiem! Proszę
panu powiedzieć, żeby zaraz jechał za panią!

Zakręciło mi się w głowie. Niepokój, nieprze-
spana noc, okropne wizje Zosi, a teraz ta nowina!
Musiałam mieć chwilę nieprzytomności, bo zupełnie
nie pamiętam, kiedy ta kobieta wyszła z pokoju.

Pobiegłam szukać pana Tomasza. Wyprowadzał
doktora na ganek.

Nie wiem już, doprawdy, w jakich słowach
oznajmiłam mu zlecenie Bronki. Zdumiało mnie, że
nie okazał żadnego niedowierzania, żadnych wątpli-
wości. Jakby był do tej wiadomości przygotowany.
Przygryzł tylko mocno wargi, przymknął powieki
i stał tak przez chwilę, ogłuszony ciosem. Potem
rzekł spokojnie.

— Niech pani nie mówi o tem ani mojej matce,
ani dzieciom.

Kąpiel bardzo dobrze wpłynęła na Zosię. Uspo-
koila się i usnęła.

Wtedy opiekę nad nią pozostawiłam babuni,
a sama poszłam odpocząć. Gdy rzucałam się w ubra-
niu na łóżko, usłyszałam turkot bryczki przed do-
mem. To pan Tomasz odjeżdżał. W następnej chwili
spałam już kamiennym snem i nie wiem,
jak długo.

Zbudzono mnie nagle. Babunia sta-
ła nademną z oczami we łzach.

— Na miłość Boską! Dziecko w
konwulsjach!

(c. d. n.)

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARGRABINA DE BOIS DE BOULOGNE

8

(Groteska w 3 ch aktach).

ANTONI. (z godnością). Jeśli pan jeszcze raz takie z przep.
głupstwo powie, to Antoni wyjdzie z pokoju i podziękuje
za służbę, choć ta, po prawdzie: niema za co! Szkoda każ-
dego słowa Antoniego w tym domu. Antoni ma swoją
Maciejową. Takiego małżeństwa jak Antoniego z Maciejo-
wą tobym życzył panu! — Ale nie każdy trafi na swoją
Maciejową! (wchodzi Francuzka w zielonej męskiej py-
jamie).

ADZIK. (zdziwiony). Patrzenie, moja pyjama.

ANTONI. (na stronie). W portki się ubrała i myśli se, że damal

FR. (rozkazująco). Antoni, circulez! Ja chce coś panu powiedzieć
proszę Antoni wyjść. (Antoni dalej, jak głuchy, chodzi,
ściera kurze, łapie muchy, drecze).

ADZIK. (odważnie). Proszę, niech Antoni idzie.

ANTONI. (raczy odpowiedzieć po chwili, złapawszy jakąś muchę
i powiedziawszy oś do niej w rodzaju mam cię). Żadne
prośby nic nie pomogą, Antoni wyjdzie, jak uzna za sto-
sowne. Nie marmozel będzie Antoniemu rozkazywała, ani
pan. Nie godziłem się do tej lafidryndy. Ja jestem tu
na to, by słuchać mojej Jaśnie pani. Jak mi Jaśnie pani
powie: niech Antoni wyjdzie — to Antoni wyjdzie (drec-
cze dalej). A, tuś mi (zabija muchę).

(Chwila daremego czekania).

ADZIK. (zakłopotany). Przejdźmy chyba do tamtego pokoju...

FR. (zuchwale). Ani mi się śni, to rzecz Antoniego.

ADZIK. (z nagłą decyzją). No niema rady, tylko trzeba zatele-
fonować do pensjonatu. Halo, proszę Nr. 335-01. Czy to
pensjonat Krakuska? Proszę poprosić panią Bujakowską.

Moja droga, to ty? Nie, nie, odchodź Wańdziu, proszę Cię,
słuchaj. Zmiłuj się. Jestem chory, zdenerwowany, smutny —
Co? Ciagle... Niema rady. Ani jej się śni. Co? Nam na-
dzieję że wkrótce. Czy tam w pensjonacie nie byłoby miej-
sca dla mnie? Pokoje takie drogie? A w twoim? Zaciasny
mówisz... szkoda. Ale słuchaj jeszcze Antoni taki się
zrobił nagle służbisty, że nie chce wyjść z pokoju bez tve-
go rozkazu. Jeśli ty mu nie powiesz, to się stąd nie ruszy
Powiedz mu moja najdroższa przez słuchawkę. Bez ciebie
wszystko w domu do góry nogami. Powiedz mu, powiedz,
zrób to dla mnie. Antoni, proszę wziąć słuchawkę. (odda
je Antoniemu słuchawkę).

ANTONI. Halo. Słucham Jaśnie Pani (słucha). Podług rozkazu
Jaśnie Pani. Teraz to idę. (wychodzi).

(Fr. podchodzi ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, potrząsa
włosami à la garçonne. Chwila pauzy).

ADZIK. (niepewnie). No, cóż to mi pani miała powiedzieć?..

FR. (śmieje się szyderczo). Pan nie ma oczu?

ADZIK. (przestraszony). Jaktó, oczu? Gdzie?

FR. (j. w.). Niech pan popatrzy dobrze na mnie. O tak blisko,
blisko, w oczy. Pan jeszcze nic nie widzi? Pan nie widzi, co
ja jestem? Ani markiza, ani kobieta, ani bona, no, co ja
jestem? (wesolo:) Chłopiec, zwyczajny chłopiec! Mais oui!

ADZIK. (jak piorunem rażony). Chłopiec, chłopiec—co—ależ pani
się myli! Pani przesadza! Pani — Pani jest za skromna!
Chłopiec — znaczy się mężczyzna? Nigdy się na to nie
zgodzę!

FR. (*serjo*). To jest prawda. Jak mamam kocham. (*zapala papierosa męskimi rękami*).

ADZIK. (*w rozpacz*). Ach, więc do tego stopnia jestem oszukiwany! Boże, co za głupiec ze mnie, żeby się też nie domyśleć. Gdzie ja miałem oczy, to prawda! Gdzie ja mam oczy, bo wciąż jeszcze nie widzę, żeby to był chłopiec. I dlaczego pan tak kłamał przedemną! Ach tak, te krótkie włosy! Ten wyraz! Ta pyjama. I cóż teraz będzie proszę Pana?

FR. (*pogodnie*). Właśnie. Siadajmy. Pogada się o tem. (*siada, zakłada nogę na nogę, kopci*).

ADZIK. (*siada na fotelu, zakrywa oczy*). Najpierw wierzyłem, że mam do czynienia z markizą, potem, że tylko z kobietą, a... a pan jest mężczyzną. Nie uwierzę już nigdy w życiu żadnej kobiecie. (*nerwowo przecierając okulary*). Proszę pana się zaraz stąd wynosić. Mężczyzna może sobie sam dać radę w życiu.

FR. (*sucho*). Tak, ja też myślałem o tem, ja już mam tego domu dosyć, dosyć niewdzięczności ludzkiej, dosyć Antoni i wszystko. Ale pan mi da swoją kolekcję pięciostotówek, tu na stół. I Antoni zawoła fiakra. I ja zabiorę moje rzeczy, i oprócz tego ce petit pyjama.

ADZIK. (*oburzony*). Co, czy pan zwarjował? Ja, dać na stół moją kolekcję, moje 5.000 złotych? Za co? Nie dam. O, jak ja powiem, to już można wierzyć. Nie dam. A innych pieniędzy nie mam.

FR. Ja też nie mam, a muszę mieć. I wszystko mi jedno, czy to te, czy tamte. Nie szkodzi.

ADZIK. (*błędnie*). Zaraz, zaraz, ja nic nie rozumiem. Z jakiej racji? Niby (*rozpiera się w fotelu*). Kto mnie zmusi? Niema takiego prawa.

FR. (*pogwizduje*). Tak? Eh bien, un moment, zaraz zobaczymy. (*wychodzi do drugiego pokoju*).

ADZIK. (*ponuro*). On ma źle w głowie.

FR. (*wraca z papierem w rękę*). Voilà. Proszę. Kto to napisał? Czyje to pismo? Co tu stoi, czyj podpis?

ADZIK. (*blady*). Ja już nie pamiętam, co to było...

FR. (*groźnie*). Tu napisane tak: Pan się zobowiązuje mi oddać majątek i się ze mną ożenić. Tak tu stoi, regardez. (*Adzik uważnie studjuje list*).

ADZIK. (*j. w.*). Boże mój, tak, to prawda. Co za nieostrożność. Ale przecie to tylko dyktando.

FR. No, tak, ale jaki na to dowód? To nie jest napisane!

ADZIK. (*rozjaśnia się*). Ależ, poprostu, proszę niech mi pan odda ten świstek, ja go podrę i będzie po wszystkim. (*wyciąga rękę*).

FR. (*chwycił papier za stanik*). Hoho, par exemple, nietylko że nie oddam ale jeszcze zaraz, jak tu stoję, idę z tem na policję i skarżę pana, że się chce ożenić z mężczyzną i oszukać go materjalnie!

ADZIK. (*do siebie*). On gotów to zrobić, skoro tak mówi. Ale przecież na policji roześmieją się z tego. Przecież nikt tego nie robi, żeby... żeby się żenić z mężczyzną. Takich głupich niema.

FR. Tak pan sądzi? Allons, zobaczymy. Bywały i takie wypadki. Wszystko już było!

ADZIK. (*chory*). Boże mój, Boże. Mówi jak Ben Akiba. Może on ma rację. Gdzie Antoni, trzeba się go poradzić. (*Hałas w korytarzu, pukanie, głosy męskie, głos Antoniego, wcho-*

dzi 3 policjantów i detektyw, stróżka zagląda przez drzwi Antoni wchodzi).

ANTONI. No przecie raz przyzwoci goście. Zaraz tu zrobią porządek.

FRANCUZKA. (*w panice rzuca się i kryje po kątach*).

DETEKTYW. Tu się ukrywa Zuzanna Knix, rzekomo francuzka nieznannej narodowości, podająca się za Anais Boulogne, której poszukujemy za kradzież.

FR. (*cisnąc się do ściany, chciała zwać przez drzwi, ale jej policjant zagradza drogę*).

FR. N n, non, to nieprawda, proszę mnie puścić.

DETEKTYW. W imię prawa aresztujemy panią. Pan wie, że ta dama specjalizuje się w wykradaniu srebra stołowego. Wyr. finowane złodziejstwo z premedytacją. Z początku pożyteczne do kawy, potem po łyżce stołowej dziennie, potem rano i wieczór po dwie łyżki, wreszcie cały półmisek!

ANTONI. Trzeba porachować co tam u nas zostało. (*odchodzi*).

ADZIK. To mniejsza, gorsze proszę pana, że to nie jest żadna ona, tylko zwyczajny on! Udawał kobietę, a to przecie kryminal! Tak jest! Zwyczajny on!

DETEKTYW. (*gburowato*). Co? Co pan plecie? Pan to serjo mówi? Panie, z policją niema żartów! Pan będzie robił wice w sądzie, w swoim czasie! Jako świadek!

FR. Proszę mnie puścić! Oh mon Dieu!

ADZIK. (*zmieszany*). Ależ on mi to sam przed chwilą powiedział. Zresztą niech Pan Komisarz spojrzy: ma — ma przecież męską... pyjamę.

DETEKTYW. (*j. w.*). Panie, niech pan policji głowy nie zawracał! Jutro w sądzie wytoczy pan wszelkie zarzuty przeciw pod sądnej! Teraz cicho! Zuzanno Knix, ubrać się, bo idziemy.

FR. (*wybuchła*). Co za Knix, ja żaden Knix, ja jestem Alice Hopkins, angielski szpieg na rzecz Afryki! Ja nie myślała, że będę tak źle przyjęta w Polsce!

DETEKTYW. Dobrze dobrze. (*popycha ją ku drzwiom*). (*Idzie się przebrać, z nią jeden policjant*).

ADZIK. (*podgląda przez drzwi*). O, o, mężczyzna — tak, a nie nie, rzeczywiście kobieta! To dziwne. Nic już nie rozumiem. Kobieta, panie detektywie. Ciekawe. (*idzie do telefonu*). Halo, 335-01, czy to pensjonat Krakuska? Proszę prędko poprosić panią Bujakowską. Wańdziu, słuchaj, co się tu nie dzieje! Wystaw sobie, pokazało się, że to mężczyzna. (*nie, nie, tego nie mówiłaś!*) i dobrze, że nie mówiłaś, bo teraz pokazało się znowu, że to kobieta. I złodziejka. Tak, to mówiłaś. Ty jedna mówisz prawdę. I zabierają ją pod telegraf. I nie jest żadna francuzka. Co? Policjanci, tak, już zaraz ją odprowadzą. Możesz wrócić! Poślę Antoniego po rzeczy. W każdym razie cieszymy się, że jej nie zostawiamy na bruku i bez dachu nad głową! Żegnaj najdroższa, dowidzenia prędko.

(*Wchodzi Fr. ubrana spacerowo, z policjantem u boku, podniecona, demoniczna*).

ANTONI. Całuję rączki pani Hrabinie. Karetka już czeka.

FR. (*krzyczy*). Wszystko nieprawda! Ja jestem Knix! Ale ja dla Szwajcarii pracowałam! Ja dla ojczyzny pour la patrie, kradła srebro w Hupczycach! Tak! (*do Adzika*). A panu powiem coś na pożegnanie: Pan jest dobry, ale bardzo, bardzo głupi. (*śmieje się, policjanci też, wychodzą*). (*Antoni za nimi*).

ADZIK. (*padając na krzesło*): Coś w tem musi być, skoro ona tak mówi!

Koniec.



RUDYARD KIPLING

PODOBÓJ SIEDZIBY

12

(AN HABITATION ENFORCED)

— Nie teraz. Dziś jest dzień przeglądu. Chodźmy prędzej do domu.

Rodziny grupami ustępowały im z drogi. Clokowie stali na uboczu. Mężczyźni witali przechodzących kiwnięciem głowy, kobiety dygiem. Syn Igguldena, prowadzący matkę pod rękę, uchylił kapelusza.

— Wasi ludzie — zabrzmiał czysty głos lady Connant, tuż nad Zosi uchem.

— Tak jest — odpowiedziała zarumieniona, że niespodzianie znalazły się o trzy kroki od siebie. Ale nie było o tem mowy.

— Ta mała wygląda jakby miała świnkę. Pani powinna powiedzieć matce, że nie można takiego dziecka prowadzić do kościoła.

— Nie mogę jej zostawić samej, proszę jaśnie pani. Znadto lubi dorwać mi się do zapalek. Jeszcze kiedy chałupę z dyrem puści.

— Czy dr. Dallas ją oglądał?

— Nie, proszę łaski pani.

— Musi ją obejrzeć. Nie możecie dostać się do niego? Wiem już! Moja sroka pokojówka wybiera się z zębami jutro o dwunastej, może więc małą wziąć po drodze... z Gale Anstey? Dobrze pamiętam? Zatem o jedenastej.

— Bardzo dziękuję jaśnie pani.

— Właściwie nie powinnam tykać nie swojego, — tłumaczyła się lady Connant, — ale Pardon tak długo był opuszczony, że musi mi pani wybaczyć moje zapędy kłusownicze. A teraz bardzo proszę do nas na lunch. Wikary też zazwyczaj bywa. Nie używamy koni w niedzielę — mówiła, spoglądając z pod oka na srebrem kute zaprzęgi Brazylijczyka. — Przez pola mamy małą milkę do domu.

— Pani jest tak uprzejma — odpowiedziała Zosia, czując ze złością, że wargi jej drżą.

— Kochana moja, — przytłumiony głos brzmiał dziwnie łagodnym dźwiękiem.

— Czy pani myśli, że ja nie wiem, co to jest znaleźć się w obcej okolicy, a jeszcze do tego w obcym kraju. Kiedy swojego czasu opuściłam Shropshire zapłakiwałam się dniami i nocą. Ale płacz na samotność nic nie pomoże. Otóż i Dora. A jednak tamtego dnia wykręciła nogę!

— Do dziś jestem kulawa, — mówiła wysoka panienka z całą otwartością. — Pani powinna wybrać się na wydry, pani Chapin. Jestem pewna, że na przyszły tydzień będą ciągnąć strumieniem przez grunta Pardon.

Sir Walter prowadził już Jerzego, wikary szedł z drugiej strony pani Zofji. Nie było mowy o odwrocie, ani w chwili pochodu, ani przed lunchem, w czasie którego toczyły się niegłośne opowieści, krążące dokoła spraw najbliższej okolicy.

Pani Zofja słyszała, jak sir Walter i wikary zwracali się do jej męża wprost po nazwisku, co dziwiło ją tem bardziej, że w Ameryce często jej znajome do własnych mężów przemawiały w formie: „panie taki, a taki”. Po lunchu, gdy panie zostały same, lady Connant rozgadała się o macierzyństwie, o tem jak się te sprawy odbywają w oddalonych od lekarskiej pomocy okolicach, i o wynikających stąd obowiązkach pani dóbr Friars Pardon.

Po południu wydostali się bramą w żywopłocie i, minawszy trzy duże gazony, wyszli na, nieznaną im dotąd, południową stronę swoich posiadłości.

— Proszę cię, podaj mi rękę, — prosiła Zosia, czując się już bezpieczną za osłoną pni brzoźowych i gąszczu ostrokrzewów. — Czy pamiętasz starą pannę w „Opatrzność i Gitara”? Wysłuchawszy wymysłań komisarza nabrała przekonania, że nie może się liczyć do towarzystwa. Tak też, ponieważ jestem poniekąd spowinowacona z niemi, lady Connant...

— Czy dowiedziałaś się co nowego o Lashmarach?

— Nie pytałam. Najprzód napiszę z zapytaniem do ciotki Sydney. Lady Connant wspominała przy lunchu, że ich rodzina kupiła niedawno jakieś grunta od Lashmarów; zbadałam, że było to w początku zeszłego stulecia.

— Co odpowiedziałaś?

— Powiedziałam, to bardzo zajmujące, czy coś w tym rodzaju, ale nie posunęłam się naprzód. Zastępszałam coś niecoś o wysiłkach Sangersa w tym kierunku. A ty? Nie mogłam cię dojrzeć z poza kwiatów. Czy wypłynęliśmy na wielkie wody?

Jerzy zmarszczył czoło, ozłoczone od słońca. — Poszło mi gładko. Kupiliśmy Friars Pardon, żeby zwierzyna sir Waltera nie miała się gdzie rozpraszać.

Kogut bażanci spłoszył się między zeszlęmi liśćmi i wytrysnął wgórę tuż z pod stóp idących. Zosia aż skoczyła.

— Otóż i przykład, — zauważył Jerzy z całym spokojem.

— Przedewszystkiem dowód, że masz nerwy w porządku. Więc jak wkońcu, czy powiedziałaś, że kupiłeś Friars Pardon dla zabawki?

— Nie. I tutaj instynkt mnie zawiódł, zdaje się, że raz tylko zrobiłem fałszywy krok. Powiedziałem, że nie wiem czemu wydzierzawienie folwarku nie ma być taką samą propozycją handlową, jak każda inna.

— Co na to odpowiedzieli?

— Uśmiechnęli się tylko. Kiedyś dowiem się, co ten uśmiezek znaczył, bo Anglicy nie uśmiechają się bez powodu.

— Czy widzisz tę wydeptaną ścieżynkę koło Gale Anstey?

Spojrzeli z brzegu urwiska wdół, na wgłębioną jak talerz dolinę. Ludzie odświętnie ubrani parami, lub trójkami, snuli się po ścieżkach, wydeptanych z zagrody do zagrody.

— Nigdy przedtem nie widziałam tu tylu ludzi naraz.

— Chcą zademonstrować, że nie mamy prawa zabraniać im używalności drózek, do których przywykli.

— Te krowie steczki zdeptują jednak mnóstwo gruntu — oponowała z pewną gwałtownością Zosia.

— A gdybyście którą zamknąć, mielibyśmy kosztów sądowych na jakie dwa tysiące funtów.

— Tego nie zrobimy.

— Mielibyśmy całą gminę przeciw sobie.

— Coprawda możemy robić, co nam się podoba. Przecież to nasza ziemia.

— Mylisz się, nie nasza, my tylko zapłaciliśmy za nią. My należymy do niej, a ona do ludzi, do naszych ludzi, jak tu mówią. Widzisz, że nie na próżno spędziłem dziś pół dnia z anglikami.

Mijali jedne po drugim pola zarosłe paprociami, gawędząc o zmianach i odbudowie, uniesieni dumą właścicieli, przystając w chwili gorętszego sporu, rozbiegając się dla lepszego ujęcia widoku, to spotykając dla dokładniejszego rozpatrzenia.

Przechodnie ustępowali im z drogi, kryjąc uśmieški.

— Robimy coś, co ich razi. Pociaszajmy się, że jeśli błędzimy to we woje, bo nie dopuścimy nikogo więcej, nieprawdaż?

— Może jednak będziesz potrzebował czyjej pomocy.

— Jeśli czyjej, to tylko twojej Zosiu. Rozpoczynamy biznes, ale zobaczysz, będzie to istna uciecha.

— Daj Boże—odpowiedziała cała w rumieńcach. Powrócili do domu na podwieczorek. (c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

9

III. PIERWSZE PODBOJE.

„En ce temps de douleur
Vint au roi une bergerelle,
Du village de Vancouleurs,
Qu'on nommait Jehanne la Pucelle.
C'était une pauvre bergère,
Qui gardoit les brébis aux champs,
D'une douce et humble manière,
De l'âge de dix-huit ans...”

Martial d'Auvergne (1484 r.).

Nieprawdopodobny zamysł, piastowany przez tyle lat, dojrzał wreszcie zupełnie w duszy 18-letniej ¹⁾ Joanny. Bezwzględna swą gotowość wyraziła później w nieśmiertelnych słowach:

— Chociażbym miała stu ojców i sto matek — przedsięwzięcia poszła!

W połowie stycznia 1429 r. następcza się dogodny pozór do opuszczenia domu: trzeba iść znów do wuja Lassois, by pielęgnować w połogu jego żonę. Dziwili się zapewne sąsiedzi i rodzina, dlaczego Joanna żegna ich tak uroczyście, polecając Bogu — dlaczego nie chce wcale widzieć przed odjazdem młodszej swej przyjaciółki Hauviette, do której najbardziej była przywiązana. A ona wie już, że nie wróci... Był zapewne głęboki żal w tem pożegnaniu, lecz zaciszny spokój rodzinnego gniazda stał się już wichrowi natchnienia ciężarem, który zrzucić trzeba nieuchronnie. Pasterka Joasia zostawała daleko w tyle poza „Joanną Dziewą!”

Możnaby sądzić, że poszuka teraz nojej jakiejś drogi na dwór królewski; lecz „Głosy” zabroniły jej stanowczo omijać tę pierwszą napotkaną przeszkodę.

Trzeba ją przełamać — i właśnie z opornych rąk Baudricourt'a otrzymać miecz i zbroję — Joanna nie wątpi w to ani chwili i wiarą tą porywa znowu wuja Lassois. Rzecz dziwna: raz już tak źle przyjęty, cichy ten człowiek odważa się po raz drugi przedstawić reprezentantowi władzy tę samą dziewczynę, którą przed pół rokiem kazano mu wysmagać i przepędzić.

I znów brzmią w sali kasztelu, mocniej jeszcze i pewniej, prorocze słowa:

— Wiedźcie, rycerzu, jako mi Bóg wielokrotnie jeszcze objawiał i kazał, bych szła do miłościwego królewica, któren ma być i jest prawym Francyjek królem. On — ci mi da zbrojnych, a ja zratuję Orlean i jego powieję na pomazanie do Reims!

Kapitan, jakby urzeczony, słucha tym razem i nie ma już ochoty do szydrczego śmiechu. Może sama śmiałość tego powrotu działa na jego przesądna duszę tak, jak ponawiane coraz silniej pukanie do wrót, które nabiera wkońcu mocy rozkazu?... Coprawda, niewiele jest już teraz do stracenia... Rycerz дума głęboko, czyby jednak zyskać czegoś nie można przez zaraźliwy, niesamowity entuzjazm tej dziewczyny? Nie obiecuje jeszcze nic stanowczo, każe czekać na swą decyzję: być może, iż posyłał w tym czasie po radę do kogoś zaufanego, lub po rozkazy do króla...

Joanna, uszczęśliwiona, a niecierpliwa, umieszcza się w miasteczku u przyjaciół wuja, zbudowanych jej pobożnością i pracowitą w domu pomocą. Kuje żelazo, póki gorące, wywierając stale wpływ, nie tylko na samego komendanta, lecz i na jego otoczenie. Ziemia pali się pod jej stopami, bo oznaczony przez nią samą termin coraz bliższy... Myśli jej krążą nieustannie wokół twierdzy oblężonej, której doniosłość odczuwa silniej, niż „uczeni w piśmie”, strategii i polityce. Pewnego dnia, już około połowy lutego, biegnie wzburzona do kapitana z objawioną wieścią, że tegoż dnia załoga Orleanu poniosła znaczną klęskę...

Ludność okoliczna zaczyna dostrzegać w tem dziewczęciu coś niezwykłego. Nie ukrywając już swej misji, mówi ono do wielu osób:

— Trza mi iść do miłościwego królewica — ta jest woła Pana mojego, Króla Niebios. Odeń przybywam. Pójdę, chociażbym miała iść na kolanach!

Miłosierdzie jej staje się znanem; zasobniejsi przynoszą jej srebrne pieniążki, które rozdziela między nędzarzy. Młody pewien kleryk widział ją raz w kaplicy, klęczącą ze złożonymi rękoma, z odchyłoną w tył głową, z oczami we łzach, pełnymi pewno w owej chwili świętych i aniołów. I idzie szeptał między ludem:

— Otoć dziewczka, obiecywana przepowiedniami, oto wybawicielka!

Lecz Baudricourt nie ufa jeszcze, czy w tem wszystkim nie tai się jakaś djabełska sprawa. Zarzut ów upada, gdy w jego obecności proboszcz z Domrémy odprawił egzorcyzmy nad zdumioną i rozżaloną swą parafjaną, która w tej ciężkiej próbie dała tylko nowe dowody świętobliwości.

Dwaj rycerze, Bertrand de Poulengy i Jan Nove-lompont (zwany de Metz) uwierzyli już w Joannę i wstawiają się za nią. Opór Baudricourt'a słabnie zupełnie na wieść, że istotnie obrońcy Orleanu sto-

¹⁾ Mogła mieć 17-19 lat.

czyli walkę niepomysłną w terminie, podanym proro-
czo przez dziwną dziewczynę.

Była to wycieczka przeciw angielskiemu trans-
portowi żywności, przedsięwzięta dość znacznymi
siłami i w doskonałych warunkach. Lecz nieumiano
zdecydować się w porę na napad, dano czas dowódz-
twu nieprzyjacielskiemu na zorganizowanie odpo-
ru — i znów, jak zwykle, prawie $\frac{3}{4}$ Francuzów le-
gło na placu boju, zasłanym śledziami z kilku roz-
bitych w tumulcie beczek transportu. Ów niezczę-
sny „dzień śledzi”, (zwany tak odtąd w historii),
podkopał już do reszty otuchę obłożonych.

Istotnie, bardzo niewiele było do stracenia...
Jan de Metz, spotkawszy któregoś dnia Joannę
na ulicy miasteczka, zagadnął ją, może z małą do-
mieszką ironji, a może z prawdziwym bólem?

— Cna dziewczko, jeszcze tu bawisz? Aż trza,
by król wygnany precz szedł ze swojej dziedziny,
a my Angielczykami ostali?!

— Przybieżałach tu — odrzeczce Joanna z gory-
czą — prosić Imć Pana Roberta, by mnie wiódł,
alibo słał do królewica... ale on się nie troska o mnie,
ni o słowa moje. A przedsię, nim nastanie półpoście,
trza, bych stanęła przed królewicem, chociabych
miała uchodzić nogi po kolana! Tak trza — albowiem
nikt w świecie, ni książe, ni król, ni królowna Szko-
cji, nie zdolą ocalić królestwa francuskiego. We mnie
jeno ratunek — chocia wołałabych praść wedle mo-
jej matki ubogiej... wszak ci owo nie rzecz mojego
przyrodzenia! Ale trza, bych słała. I uczynię ono,
albowiem Pan mój tak chce.

Wzruszony rycerz wykrzyknął, podając jej pra-
wicę:

— Ślubuję ci na moją cześć, jako z bożą po-
mocą zawiedę ciebie do króla. Kiedy ci wola
jechać?

— Onejże godziny!! wolej dzisiaj, niżli jutro —
jutro wolej, niżli potem! (c. d. n.)

NOWE METODY OŚWIATOWE



raca nad oświatą dorosłych jest
w kraju analfabetów, a jednocześnie
obdarzonym prawem powszechnego
głosowania, zadaniem najpilniejszym,
niecierpiącym zwłoki. Tymczasem
w tej właśnie dziedzinie ruch jest
stosunkowo najmniejszy. I rząd i spo-
łeczeństwo pracują dla przyszłości,

zakładają szkoły dla dzieci, dążąc do zreali-
zowania postulatu powszechnego nauczania. (Nie
mówię naturalnie o ostatniej katastrofalnej fazie,
ale o całym ciągu poważnych wysiłków od chwili
powstania Państwa). Natomiast, na oświatę poza-
szkolną, na oświatę dorosłych wstawia się do bu-
dżetów sumy śmiesznie małe, a i społeczeństwo,
zaabsorbowane innymi troskami, nie oddaje kwestji
tej dostatecznej uwagi.

A tu potrzebaby niesłychanego pośpiechu, no-
wych zupełnie metod, dla przeorania zachwaszczo-
nego gruntu do głębi. Trzebaby puścić w ruch całą
armję prelegentów; przy pomocy kin oswoić masy
z historją i literaturą, geografją i przyrodą, popie-
rać wędrownie teatry w rodzaju „Rybałta”, przemó-
wić do wyobraźni tłumów barwą i dźwiękiem, za-
prząc, jednym słowem, do roboty i kino i radio
i sztukę malarską i przedewszystkiem człowieka, ja-
ko najdzielniejszy instrument oddziaływania na po-
dobnych sobie.

Tymczasem z tego wszystkiego — nic, lub pra-
wie nic!

Wyprzedziły nas pod tym względem... Sowiety,
na usługi swojej propagandy biorące wszystkie no-
we wynalazki i wszystkie nowe metody.

W zbyt powolnem tempie dźwigamy się z upad-
ku kulturalnego, w który pogrążyły nas rządy
obecne.

Na tle tego ogólnego marazmu i beczynności
odbija bardzo interesująco działalność „Uniwersytetu
Korespondencyjnego”. Instytucja, o której ogół mało
wie, albowiem prasa codzienna nie ma zwyczaju
informowania o rzeczach nowych i pięknych, staremi,
jak świat „sensacjami” zbrudni i występku do prze-
sytu karmiącego czytelnika.

„Uniwersytet Korespondencyjny” istnieje w War-
szawie przy ulicy Chmielnej 33. Historia jego żywota
jest krótka. Powstał we wrześniu 1924 r. Na kapi-
tał zakładowy instytucji złożyły się fundusze kilku
stowarzyszeń, jak: „Związek urzędników kolejowych”,
„Związek inteligencji pracującej” i in.

Uniwersytet Korespondencyjny zatrudnia dziś
około 50 osób, pierwszorzędnych sił nauczycielskich.
Ma około 5000 korespondentów i 1500 stale kształ-
cących się jego metodami.

Metody to nie naszego wynalazku! Posługuje
się nimi oddawna Ameryka i Francja i inne kraje
starego i nowego świata.

We Francji jedna z instytucyj tego typu posia-
da, jak głosi jej sprawozdanie, 60 tysięcy korespon-
dentów. Były już i u nas próby w tym kierunku.
„Instytut oświatowy im. Staszica” stosował przez pe-
wien czas metodę szerzenia oświaty przez korespon-
dencję; ponieważ jednak zbyttno indywidualizowano
pracę, wymagała ona niesłychanych wysiłków, na-
kładów kolosalnych i wielkiej ilości pracowników.

Uniwersytet Korespondencyjny z ulicy Chmiel-
nej, zostający pod kierunkiem p. W. Jędrzejewicza,
znanego kierownika pracy oświatowej w wojsku, mu-
siał z konieczności uprościć metody działania.

W ciągu półtora roku istnienia, przy pomocy
zaproszonych najlepszych sił nauczycielskich opra-
cowano całkowity kurs szkoły powszechnej, kurs
szkoły średniej, kurs nauczycielski w zakresie pro-
gramu Seminarjum państwowego, kursy nauczyciel-
skie wyższe, dla nauczycieli, specjalizujących się
w danym przedmiocie, a następnie, w miarę napły-
wających zgłoszeń, opracowywano kursy luźne: bu-
chalteryjne, handlowe, przysposobienia wojskowego
i t. d. i t. d. Ogółem przygotowanych jest już obecnie
80 cyklów, z których niektóre posiadają wysoką
wartość. Są także kursy poszczególnych przed-
miotów.

Dla czytelniczek naszych interesującą być mo-
że wiadomość, że opracowano tam na użytek po-
czątkowej nauki domowej metodykę języka polskie-
go, początki historii, pogadanki historyczne i psy-

chologię dziecka. Ta ostatnia, w opracowaniu p. Librachowej, stanowi podobno małe arcydzieło.

Metoda prowadzenia nauki przez korespondencję polega na podziale kursu na zeszyty miesięczne, Zeszyt taki wraz ze wskazówkami wysyła się uczniowi. Obowiązany on jest przerobić go i przy końcu miesiąca odesłać do Zarządu swoje opracowanie. Opracowanie to poprawia nauczyciel-specjalista, poprawione zwraca się uczniowi, posyłając mu jednocześnie zeszyt następny i t. d.

Zdawane potem z powodzeniem egzaminy dowodzą, że metoda jest dobra i skuteczna, nawet w przystosowaniu do praktycznych celów życia; niewątpliwie zaś jest jedyną dla tych, co zaprzepaszczeni gdzieś, w jakimś zakątku, odcięci od ognisk ruchu umysłowego, pragną samouctwem umysł swój rozjaśnić, wygimnastykować i stać się uczestnikami kulturalnego życia narodu i ludzkości.

Za wysyłane zeszyty i za poprawki Uniwersytet pobiera opłaty. Kurs szkoły powszechnej jest nieprawdopodobnie tani. Kosztuje rocznie 3 zł. 50 gr. Szkoła średnia kosztuje znacznie drożej. Cena kursu jednej klasy wraz z poprawkami wynosi do 200 zł., kursu nauczycielskiego do 240 zł. Nauczyciele pracujący w Uniwersytecie Korespondencyjnym są wynagradzani wedle norm, przyjętych w szkołach państwowych. Jak widzimy niema tu filantropji. Instytucja oparta jest na zasadzie samowystarczalności.

Nie potrzebuje kwestować, żebrać, narzucać się niecierplivej publiczności. Są to wszystko rzeczy nowe i cenne.

A teraz – o klientach Uniwersytetu Korespondencyjnego:

□ Jest wśród nich znacznie więcej mężczyzn, niż kobiet, ale zato, zgłaszające się do Uniwersytetu kobiety, stoją na daleko wyższym poziomie wykształcenia. Są to przeważnie półinteligentki, a więc: służba domowa wyższego stopnia (gospodynie), żony drobnych urzędników, dziewczęta, z normalnego trybu kształcenia się wykolejone przez wojnę i t. p. Chłopiek niema prawie wcale, robotnic również.

Co do mężczyzn, korespondentów Uniwersytetu, rekrutują się oni przeważnie z takich środowisk: jak służba kolejowa, wojsko, policja; robotników jest mało, wyjąwszy środowiska emigracyjne np. we Francji; chłopów coraz więcej. Co do geograficznego rozproszenia korespondentów, najwięcej dostarczają ich Kresy, zarówno wschodnie, jak zachodnie – pozatem – emigracja. Są więc stali uczniowie i korespondenci we Francji, sa w Paranie, jest jeden wiertacz nafty z Borneo i t. d.

Stosunek wzajemnej sympatii między nieznanymi uczniami i nieznanymi nauczycielami zawiązuje się bardzo łatwo. Listy, pełne wyrazów serdecznej wdzięczności świadczą o ogromie usług, jakie „Uniwersytet Korespondencyjny“ oddaje swoim klientom.

H. C

„POŁÓW“ IŁŁAKOWICZÓWNY¹⁾

W Paryżu od paru miesięcy w świecie literackim toczy się spór o „czystą poezję“. Wszczął go odczytem swym książd Bremond, akademik, z powodu poezyj Valéry'ego (który również został w tym czasie akademikiem), ochrzczonych przez ks. Bremonda tem mianem... „Czystą poezją“ nazwał uczony książd akademik „to coś niewysłownego i mistycznego, blizkiego istocie modlitwy, co jest poza formą, uczuciem i obrazem, chociaż w nich uczestniczy“. Stąd spór: poezja ma być irracjonalna? ma być jakimś prądem magnetycznym? fluidem? — oburzają się krytycy. Ks. Bremond daje już od dwóch miesięcy w Les Nouvelles Littéraires sążniste swe i puszyste éclaircissements, które właściwie nic nie klarują i nic wyklarować nie będą mogły, gdyż w założeniu pomieszane zostały, wskutek niewyjaśnienia sobie ogólnych pojęć sztuki i twórczości, pojęcia poszczególne: poezji i natchnienia! Stąd odmet nieporozumień.

To, co ks. Bremond chce mienić jakąś nieokreśloną „czystą poezję“, jest, poprostu, natchnieniem w poezji. Poezja, prócz natchnienia, czyli ducha, wymaga formy. Niemasz poezji bez formy, przynajmniej na tym świecie.

Im czystsze jest natchnienie, tem czystsza, tem doskonalszą pociąga formę w dziele twórczem. Zamulone natchnienie ma właśnie to zamulenie, jako swą formę.

Czyste natchnienie może płynąć czy promieniować z czystego tylko

naczynia. Rzecz więc wartości poezji sprowadza się ostatecznie do sprawy organicznej — naczynia, a przynajmniej do zdolności naczynia, w chwili natchnienia, stawania się, mniej lub więcej, czystem, czyli, w rezultacie, do siły, do tężności, do ilości odmiennającego to naczynie natchnienie.

Gdyby Francuzi, których poezja, mimo wysokości ładu i precyzji, jest zawsze nieco konwencjonalna, czyli nie zdobywa się na najczystsze natchnienia, mogli, naprzykład, ocenić Słowackiego, niezrównanego co do kojarzenia najczystszej natchnienia z odpowiadającą temu natchnieniu formą, lub gdyby mogli chociażby zrozumieć ostatnią epigonkę dzisiejszą Słowackiego, ostatnią Balladynę poezji polskiej, Iłłakowiczównę, sprawy o „czystą poezję“ nie byłoby wśród nich napewno.

Albowiem, Iłłakowiczówna, *mutatis mutandis*, mimo częstą stylizację modernistyczną, jest najczystszej wody (właśnie co do waloru czystego natchnienia) epigonką wielkiego polskiego Arjela poezji, Słowackiego. Różnica polega chyba tylko (mówię wciąż o jakości, nie o ilości i rozległości natchnienia, którą Słowacki bezwzględnie prześciga swą wnukę promienną) na tem, że natchnienie Słowackiego ma większą skalę barwną, jest tężowe, iskrzące się, jak opal, gdy u Iłłakowiczówny



¹⁾ I K. Iłłakowicz. „Połów“. 1926. Wydawnictwo I. Mortkowicza. Nakład Tow. Wyd. w Warszawie.

dominuje poświata czerwona, jak łuna pożaru. Ale oba natchnienia są równie czyste.

Poetka tak na wstępie określa swój połów poetycki, swą akcję poezji:

Od czarnej słodyczy, jedwabnych snów
dusza powstaje i tęskni znów,
i wije wianki i powrozy wije,
i zarzuca je gwiazdom i księżycom na szyje,
wychodzi z ciała na niebieski połów
i wraca z siecią, pełną ptaków i aniołów.

Już na tej drobnej przegrawce chciałbym okazać czytelnikowi tę czystość wysoką natchnienia Iłakowiczówny, o której mówiliśmy przed chwilą.

W prozie, przegrawka ta wyraziłaby się tak: Dusza, znużona ziemią i tęskniąca do ideału, wraca do twórczej pracy. Takie oświadczenie nikogoby nie zajęło, nikogoby nie wzruszyło. Żeby się ono stało poezją, potrzeba je wyposażyć w natchnienie, t. j. potrzeba, by dusza tak czująca (znużona i tęskniąca) nabrzmiała w pełni obudzonemi stanami tego znużenia i tej tęsknoty,—by zawarła w sobie całą przeszłość i całą przyszłość nadziei i uśmiechów, rozkołysała w sobie to dziwne morze zmieszane, napięła tysiąc uczuć pulsujących i wystrzeliła z nich najistotniejszymi, najsyntetyczniejszymi promieniami słów. Wtedy takie okazanie w dziwny i niewytłumaczony sposób trafia wzamian przez oczy czytelnika, czy uszy słuchacza, do jego duszy, odbudza tam częściowo stany pokrewne ze stanem duszy poety—i to się nazywa poezją (od greckiego wyrazu *pojezis*—z e długiem i akcentem na dyftongu *oj*—co znaczy robotą twórczą, twórczość).

Jakież jest tutaj okazanie się tego natchnienia na zewnątrz? Obrazy i określniki, najśmielej, najrzutniej, najniespodziewaniej, całymi przekrojami okazujące te stany duszy. Naprzód, co do przeszłości: czarna słodycz i jedwabne sny; dwa określniki, zwłaszcza pierwszy nader śmiały w stosunku do swego przedmiotu, dobitnie odtwarzają stan gnuśności i zawodnych upojeń ziemskich duszy. Potem, obraz powstania duszy: dusza wije wianki i powrozy. Znowu śmiały kontrast wyrazów, szczerą przytem polskością kraszający się. „Zarzuca je na szyję gwiazdom i księżycom”—obraz, pod którym podpisałby się Słowacki,—wreszcie „cała wychodzi na niebieski połów”, by wrócić z siecią, „pełną ptaków i aniołów.”

W wierszu tym są tylko trzy przymiotniki dosadne: czarny, jedwabny i niebieski. Zwracam na to uwagę. Nigdzie więcej, — ani przy wieńcach, ani przy powrozach. Gdyby były gdzieindziej, już zaćmiłyby jasność ogólną obrazu.

Dwa ostatnie obrazy są na granicy paradoksalności, i to stanowi ich wzniosłość, gdyż poezja jest tym boskim paradoksem. W prozie księżyc i gwiazdy nie mają szyj, w prozie do sieci nie wpadają razem ptaki i aniołowie. W poezji — to właśnie napomyka na stany niewysłowne przez swą złożoność duszy i daje jej wyraz prawdziwy — jej wyraz czarowny.

Na nieomylność takiego zewnętrznego wyrazu poezji zdobywa się tylko bardzo wysokie — bardzo czyste natchnienie. Czołem — przed taką paradoksalnością! Oto jest „czysta poezja!”

Obecny „Połów” Iłakowiczówny jest odmieniony od przeszłych. W przeszłych dusza poetki gościła „mocnego człowieka”, z jego bajronicznym korsar-

stwem, z jego potęgą indywidualną. W obecnym, dusza, jak „smok znużony” (ach, ty, smoku wdzięczny!) wraca „do starej — starej baśni”, do rzeczy prostych: „do pyłów, tańczących w próżni, do małego ślepego pajaka, co się barwą od ściany nie różni, od drżących w złocie okiennic głośnego, gorzkiego szloch, do szpar ciekawych w podłodze, pełnych zagadek i prochu” i t. d. Bo tam:

Coraz jest prościej, ciszej — coraz bezpieczniej, jaśniej...

Powrót ten poetki do rzeczy prostych: „do tajni mysiej nory, ukrytej w kącie pokoju, do strasznej śmierci dziecięcia, do przygód okropnych jeża”, współczucie to dla istot i żywiołów drobnych jest etapem znamienym w rozwoju jej twórczości. Indywidualność jej bolesna chce się unieść, zgładzić w potoku drobnych form przyrody, zmieszać się, zapomnieć o sobie, usposobić się panteistycznie i deterministycznie.

Ale jakież ta władna pani poezji w tym powrocie samorzutnym pociąga orszak za sobą! Towarzyszy jej, jak na zaklęcie magiczne wyobraźni, cały dziwny świat astralny, czy eteryczny, po raz pierwszy w takiej obfitości i w takiej rozmaitości powstały: świat dziwadeł i straszylaków — wytwór ludowej wyobraźni polskiej, w szatki zwiewne poetki ubrany. Czego tu niema? Stwory, Baby, Zmory, Tulipanowi Starce, Licha, Duszki, Stworki, Urocznice, Tanecznice, Łatawice, Cuda, Niepokojczyki, Nawiedzone... A każdy z tych stworów ma swój wyraz właściwy, odrębnie i ściśle określony. Istne pandemonjum wiary ludowej, w poezję przystrojone... Aż lęk ogarnia, by się sama pani tych stworów, wśród tego świata zwiewnego, stworzyście nie obłąkała... Zna ona je wszystkie na wylot, bawi się nimi, jak dziecko lalkami, — dziecko patetyczne, zagłuszające ból i ranę duszy...

Ale próżna zabawa ta zgłusza. Ból wypłynął i rana się czerwona otworzyła. Oto tuż dział następny, zatytułowany słowami z *Trenów* Kochanowskiego: „Gdziekolwiek jest — jeśliś jest — lituj mej żałości”, — dział najpotężniejszy w zbiorze swą liryką, dorównujący pod względem uczucia *Trenom* i pod względem wyrazu duszy dzisiejszej przewyższający je oczywiście! Ból jest tu na krawędzi obłąkania, łączy patos najboleściwszy ze szczerbiotem półobłąkańczym z niego, z tęczą łez i wdzięku, — wszystko w najdoskonalszym wyrazie poezji. Są tu i stopnie, kowane w granicę bólu, jakie tylko spotkasz w *Lirze* Szekspirowskim, lub w rzadkich miejscach patosu Słowackiego:

O, niech mnie twardy przechodzień pogardą w uliczny proch
[wgniecie!]

Jestem złamane drzewo i nigdy nie wzbiore w kwiecień
Nigdy się owoc życia nie załże, nigdy płód nie dojrzeje,
jak wiór, jestem wysuszony w upale i, jak wiór przeklęty, zgorzeję!

O, śmieście się ze mnie, siostry, śmieście się, matki szczęśliwe,
za moje serce jałowe, za moje życie półżywe,
za hołubienie zjawy, za pieszczoty, cieniem rozdane,
za modlitwy, nabiegłe bluźnierstwem, przez nikogo niewysłuchane!

Nigdy stamtąd, gdzie trwa, nie przyjdzie i więcej do nas nie dotrze
ukochanie moje najstraszliwsze, szaleństwo moje najśłodsze,
nigdy ciężarem szczęścia nie padnie nam ze śmiechem na szyję!...
Nicość je usta białemi, jak rajskiego ptaka wypije...

..jak rajskiego ptaka, rajską, śliczną jaskółkę pochłonie...
[roztopi... wypij ...]

Przepisałem te trzy zwrotki granitowe, i przecieram na nowo zdumione oczy ducha, i obawiam się naprawdę, czym nie zamało oddał im czci, porównyując je do najlepszych fragmentów Szekspira i Słowackiego.

Tak wielkiego wyrazu poszczególnego tragizmu nie znam nawet w najwyższych tragediach greckich.

Nie wchodzę w genezę tego bólu: jest li nią wyobraźnia, czy symbolika, czy prawdziwa rzeczywistość.

Jedno wiem: gdybym był Faraonem, wystawiłbym za życia piramidę Iłakowiczównie, i na niej kazał wyryć te strofy, by świat cały nauczył się po polsku, przeczytał je.

I jeszcze jedno ważne zastrzeżenie osobiste: nie lubię wogóle bólów w liryce, a zwłaszcza kobiecych. Na jeden jedyny z nich tylko się godzę, jeden z nich biorę na serio w poezji i liczę się z nim poważnie: jest nim ból tragiczny Iłakowiczówny. Wszystkie inne przy nim w liryce wyglądają, jak nieodpowiedzialna histerja. Nie znoszę w nich nawet samego tego wyrazu: ból.

Ostatni wiersz z cyklu końcowego, Anioły, p. t. Ocalony płomień jest zamykającą twórczość bolesną Iłakowiczówny modlitwą do Archaniola, — modlitwą, wołającą „ustami wszystkich gorzących ran“, by wziął on płomień jej miłości, wypalony na ziemi, ocalony jednak i unoszący się ku gwiazdom, ku słońcom, — by wziął go w swe dłonie i rozpałił go w swem ręku na moc stwórczą, na skrzydła i strzały nowego odrodzonego życia.

To jest wszystko, czego potrzeba do przyszłej, absolutnej poezji. Jeżeli poetka rzeczywiście w rozwoju swym twórczym dojdzie do poczucia w sobie zasady nadprzyrodzonej Słowa, jeżeli się z nią utożsami, jeżeli odrzuci od siebie czerwonołuną koszulę osobistych bólów i wykąpie się w tem Słóncu Słowa, w Miłości powszechnej świata, promieniami już jego strzelista, — wtedy stanie się nie tylko, jak dziś, wielką, największą poetką uciekającej wstecz terażniejszości, uciekającej Baśni romantycznej, lecz i wielką, największą poetką prawdziwej Rzeczywistości, nowego nieba przyszłej poezji absolutnej. Tego jej z całego serca życzę, całując jej biedne, jej bolesne, płomieniem natchnione jej ręce.

Józef Jankowski.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

SPRAWA KOBIECA WE FRANCJI W R. 1925.

W dzienniku paryskim „l'Oeuvre“, znana prawniczka i działaczka francuska, pani Marja Véronne drukuje krótki przegląd, sprawy kobiecej we Francji w ubiegłym roku 1925.

„Pracowałyśmy przez cały ten rok usilnie, nie szczędząc ani sił naszych, ani czasu, ani też — pieniędzy. Pracowałyśmy na wszystkich polach, usiłując posunąć sprawę kobiecą o krok naprzód. Czy jednak zdobyłyśmy cośkolwiek? oto jest pytanie, na które odpowiedź znaleźć można tylko w obiektywnem zestawieniu faktów.

Mniej więcej rok temu, dnia 24 lutego 1925 r., Izba poselska podczas obrad nad ustawą skarbową uchwała artykuł, w którym dozwalała urzędowi fiskalnemu ściągać podatki, nałożone na męża, z posiadłości żony. Przeciwno uchwale tej, jako w najwyższym stopniu niesprawiedliwej i stojącej w jaskrawej sprzeczności z duchem, ożywiający cały francuski kodeks cywilny — zaprotestowała energicznie prasa wszelkich odcieni. Liga Francuska Praw Kobiety (Ligue Française pour le Droit des Femmes) zwołała wielki wiec publiczny, protestujący przeciwko tej, jak ją nazywał Louis Farest, „niewoli fiskalnej“, usankcjonowanej przez państwo. Rozrzucono tysiące broszur i ulotek. W rezultacie senat odrzucił ów artykuł, a Izba poselska — pod naciskiem opinii publicznej nie odważyła się wnieść go ponownie pod obrady. Odniosłyśmy więc, na tem polu całkowite zwycięstwo.

Dn. 31 marca, Izba poselska rozpoczęła obrady nad wnioskiem posła Flandin w sprawie przyznania kobietom praw wyborczych do ciał municypalnych. Dn. 7 kwietnia, ustawa ta została uchwalona 390 głosami przeciwko 140, jednocześnie jednak też sama Izba odrzuca wniosek o nagłośni tej ustawy 297 głosami przeciwko 247. Było to zupełnie wyraźne życzenie, wyrażone pod adresem Senatu: „nie śpieszcie się z uchwaleniem tej ustawy.“ Senat zastosował się do tego życzenia — i odesłał wniosek do komisji. Kiedy więc przyszedł nowy okres wyborczy w maju, zastał nas jeszcze w tej samej sytuacji, co i dawniej: bez prawa głosu. Jednakże uchwała Izby Poselskiej wywarła pewne wrażenie na ciałach municypalnych, które poczęły nas traktować z większymi względami. Tu i owdzie na listach wyborczych pojawiły się nazwiska kobiece. Stowarzyszenia kobiece nie zasympiały również sprawy. We wszystkich dwudziestu czterech okręgach Paryża wystawione zostały kandydatki z pośród znanych i cenionych społecznie, po jednej kandydatce na każdy okręg. Na licznych wiecach wyborczych odzywały się bardzo często głosy protestu przeciwko niezrozumiałemu odwołaniu ostatecznego zatwierdzenia ustawy, już uchwalonej przez parlament. A więc i w tej sprawie odniosłyśmy zwycięstwo — połowiczne tylko wprawdzie, ale zawsze zwycięstwo.

Wreszcie, w listopadzie ubiegłego roku, Senat obradował ponownie nad ustawą w sprawie zezwolenia na zachowanie obywatelstwa francuskiego kobietom, wychodzącym zamąż za cudzoziemców. Nie powzięto jednak w tej kwestji żadnej jeszcze decyzji i zdaje się, że projekt ten zostanie ponownie przekazany komisji parlamentarnej, skąd wyszedł i do której już raz powracał, przechodząc za każdym razem różne poprawki i modyfikacje.

Reasumując to wszystko, możemy tylko stwierdzić, że pomimo niektórych zwycięstw czysto moralnych sprawa kobiega we Francji nie posunęła się ani o krok dalej. Rząd francuski trwa uporczywie dalej na stanowisku odmawiania nam wszelkich praw obywatelskich. Jedyny dowód jego pamięci o istnieniu tysiącznych rzesz kobiecych w państwie francuskim, to — okładanie ich coraz wyższymi i coraz bardziej urozmaiconymi podatkami!“ Z. B.



SPOWIEDŹ PUBLICZNA *)

Było to w 1905 roku, kiedy roilo się od wieców, zebrzań, zgromadzeń. Wszystkie ważne, wszystkie gorące, wszystkie uchwałami, niecierpiąciami zwłoki, brzemienne. W wielkiej sali Muzeum przedmowy wiecował Związek równouprawnienia kobiet polskich pod przewodnictwem p. P. Kuczalskiej — Reinschmidt. Po przemówieniach członków zarządu poprosił o głos ktoś z tłumu. Udzielono go. Podniosła się skarga — lament żalony na jakąś krzywdę kobiecą, na udrękę, która woła o pomstę. Przewlewały się słowa dźwięczne, patetyczne, miejscami rubaszne i brutalne, gdy zależało na podkreśleniu sprawy powszedniej, a lekceważonej.

Dziwnie wnikliwy był ten głos obcy, nieznan, jak gdyby z ducha przestrzeni wyrwany i w ciżbę zasłuchaną lecący. Wszystkie oczy zwróciły się ku drobnej, szczupłej kobiecie, od której szły te zaklęcia, groźby, te żądania sprawiedliwości i zleczenia krzywd.

Dusza gorąca, wczarowana w magię słów mocnych, śmiących, rozlewnych. Kto to?... Skąd?...

Mówczyni została wkrótce członkiem Związku równouprawnienia kobiet polskich i na zebraniach podnosiła sprawy ważne, domagając się reform wysoce humanitarnych. Dostojna powaga i patos przejmujący były zawsze z jej słów.

Spotykałyśmy się często, ale trwało to krótko. Między członkami Związku nastąpił rozłam z grupą secesjonistek stworzyłyśmy Polskie Stowarzyszenie równouprawnienia kobiet o celach, wychodzących poza zakres czystego feminizmu.

Mówczyni została przy Związku. Słyszałam ją już później rzadko, ale czytałam jej książki, artykuły, odezwy, pełne tej swoistej rozległości stylu i tego patosu, który był w niej, jak wieczne rozedrgana żywa struna. Ale i to przerwało się wkrótce. Ojciec, zamilkła. Ktoś powiedział mi kiedyś, że stanęła pod sztandarem bezwyznaniowości i w tym duchu wychowuje śliczne, mądre swoje dzieci. A potem — spotkało ją ciężkie nieszczęście — tragiczna śmierć córki najstarszej. Zresztą wojna zgłuszyła wszystkie wieści o ludziach, których nie łączyła praca przy wspólnych warsztatach. Zapomniałyśmy o sobie.

Kilka tygodni temu przysłano mi książkę „Powrót do Boga”. Z własnego przeżycia*). Niepozorna, w szarej okładce, na bardzo zwyczajnym papierze, bez nazwiska autora z inicjałami tylko w nagłówku, nie budziła zaufania. Leżała więc czas jakiś nietknięta. Ale nagle mnie, co o niej myślę? Co powiem? Otworzyłam ją. I dziwne. Z pierwszej kartki uderzył we mnie głos — ten z przed lat dwudziestu, ten — jakby ducha z przestrzeni wielkiej, natłoczonej sali Muzeum.

„Od łez i nawałnicy żalu ledwo pisać mogę, a wiem, że pisać muszę. Mam mówić o rzeczach tak strasznych, że krew ścina się w żyłach i o sprawach tak cudownych, że tysiącem słońc rozjaśniona jest droga przedemną.“

Ten sam patos, ten sam oddźwięk najwyższej nuty kamertonu.

Kilkakrotnie wracałam do nagłówka niewielkiej szarej książki. Nie było wątpliwości. Przetawione litery kryptonimu. Odwrócony kierunek zaklęć, wołań, żądań, ale ten jedyny w swoim napięciu i nieodmienny żar duszy namiętnej, ten diapazon najgłośniejszy...

A oto przeżycia własne naszej konwertytki, która — jak Magdalena Sémer — od stanu zupełnej niewiary przeszła w poszukiwaniu prawd wiecznych przez wszystkie stany wewnętrznego udoskonalania się — oczyszczania, iluminacji, kontemplacji, aż wpadła w mistycyzm. Tylko gdy p. Sémer wyrosła w bezwyznaniowości, — p. L. T. urodzona w domu głęboko pobożnym, wychowana w klasztorze, dojrzewając dopiero, zaczęła miewać wątpliwości religijne. Pograżała się w rozwiązywaniu zagadki bytu, filozofowała, snuła sama w sobie głębokie ważne przemyślenia i miała namiętność do książek. Pożerała ją chęć wiedzy. Ojciec, uczony profesor, zapinał przed nią szpilkami kartki w Kochanowskim, mówiąc „to nie dla panienek”, a ona w bibliotece na drabince nad jego siwą głową rozczytywała się w Darwinie, w Renanie i we wszystkim, co tylko wpadło jej w ręce. A refleksyjny, wnikliwy umysł wciąż nabrzmiewał pytaniami „dlaczego?” „po co?” Aż nareszcie wytworzyła sobie światopogląd fantastyczny. Pacierzem jej stał się zachwyt, z jakim brała oczyma obraz świtów słonecznych, lub lasu na wiosnę, czy pola w łanach zbóż. Wyszedłszy zamaż za człowieka bardzo kochającego i kochanego, który zapewnił jej dobrobyt i otoczył ją najtroskliwszą opieką, wychowywała dzieci swoje w bezwyznaniowości.

Nagle grom. W dzień wiosenny 1920 r. umiera najstarsza jej córka. Umiera tragicznie — z własnej woli.

„Czemu ona umrzeć chciała? — Matko, o sercu mieczami przebitym, ulituj się ty nademną!... Ty serce człowiecze miałaś. Ty rozumiesz i Jezus — Człowiek, krwią ociekający, ranami otkręty, rozumie mękę która wszędzie zerwała tamy i wszystko zalała. — Czemu ona umrzeć chciała? — Ta przejrzana, czysta,

miłosierna, słodka, zawsze smutna dziewczynka nasza? — Powiedziała, że sił jej brakło. Dlaczego?... Dlaczego tobie, dziewczynko, sił brakło?”

Ksiądz — przyjaciel, przez czas odszczepieństwa rzadko widywany, poprowadził pogrzeb. I to przyniosło ulgę zbolącej matce.

Jakąś tajemnicę miała do zwierzenia dziecku. Nie wie, nie pamięta, co? — Tylko w dzień, w nocy szeptała do niej, ale jakby nie ona sama, jakby ktoś z przestrzeni rzucał w nią słowa, które powtarzała bezwolnie. „Nie myśl, nie pamiętaj, że twoje życie było smutnym snem — niech cię aniołowie na skrzydłach kołyszą, niech aniołowie moją modlitwę słyszą!”

To był pierwszy nieśmiały nawrót do Boga. To była rozpacz, która szukała ujścia w nieuświadomionem jeszcze pobożnym zaklęciu.

Wkrótce po pogrzebie prosiła kapłana — przyjaciela, żeby pomodlił się za nią do swego Boga. A po dniach, czy po tygodniach poszła do niego, żeby z nim razem odmówić głośno: „Ojciec Nasz, Zdrowaś Marjo, Pod Twoją obronę i Kto się w opiekę oddał Panu swemu”. — Kapłan dał jej książkę „Naśladowanie Chrystusa”. Rozpoczęły się dni cudu. Precowicie — słowo po słowie — zdobywała sobie modlitwy dziecięctwa, aż przyszło pierwsze wyznanie wiary, pierwsze poddanie się i błaganie o łaskę wtajemniczenia. Ale jeszcze był w niej ten wstyd potworny jawnej modlitwy, widomego powrotu do Boga. A przytem — trwoga odejścia od Niego i obawa kłamstwa. Łamie się, walczy z sobą. Jest jednak pod sterem dobrego, mądrego kapłana, który dźwiga ją w chwilach upadku, niepewności, zwątpień.

Tak trwała do lata 1920. Wtem zrywa się nawała bolszewicka. Dwóch synów idzie na wojnę. Jeden ginie. Ale już wtedy powtarza pani L. T. za św. Augustynem: „Boże, daj, co nakazu jesz i nakazuj, co zechcesz!” Poddaje się wyrokowi. Dźwiga swój krzyż w pokorze. Miewa godziny ekstazy. A wtedy zdaje się jej, że Bóg — wszechmoc tęskniąca — stworzył ją na umiłowanie siebie, na oddanie miłości Swej — na udarowanie cząstką Swej potęgi. I że od z a w s z e postanowiony został byt jej z tęsknotą za tą miłością.

Dała Chrystusowi, co dać mogła. „Nie widzenie swoje” — gdzie idzie ulicą z otwartymi oczyma, nic nie postrzegając. Dała pokorę, cierpliwość, posłuszeństwo. Dała niewielką szarą książkę — spowiedź publiczną — dzieje nawrócenia swego, spisane na żądanie kapłana przyjaciela — spowiednika.

Trwa w uwielbieniu i miłości Boga szara pokutnica, wdzięczna za promień słońca i za mękę życia, za chleb powszedni i za ból, za krwawe łzy, które płyną do stóp Krzyża. C. Walewska

Z TEATRÓW

TEATR IM. BOGUSŁAWSKIEGO.

„Róża“ Stefana Żeromskiego.

Jeżeli chcesz poznać litanję polskich krzywd i wżyć się w polską nędzę, a nie opuścić rąk w zniechęceniu — czytaj pisma Żeromskiego. Z dziwnych tych i cudnych stron bije taki ogrom polskości, tak głębokie zrozumienie duszy narodu na przestrzeni kilku pokoleń, iż pytamy siebie ze zdumieniem czy mogły wyjść z pod pióra jednego człowieka.

Całokształt dzieł Żeromskiego — to epopea Polski od utraty niepodległości do jej odzyskania. Legjony, wojny Napoleońskie, rok trzydziesty pierwszy i sześćdziesiąty trzeci, przesmutne dzieciństwo pogrobowców powstania styczniowego i jeszcze smutniejsza młodość tych że dzieci, rok dziewięćset piąty; porowolucyjne zrusyfikowanie duchowe, i te niepokojące lata przedwojenne, w których zrodziły się „Dzieje Grzechu”... A potem potworność wojennych uniców, i Wiatr od Morza, i tajemnicze Przedwiośnie... Wszystkie te momenty, wszystkie pokolenia i każdego człowieka z osobna rozumiało to wielkie serce, w którym jak w zwierciadle bez skazy odbijało się najłżejsze drgnięcie naszych uczuć i myśli.

Dopóki żył Żeromski nie było między nami człowieka samotnego. On był w nas, i my byliśmy w Nim, i ta przedziwna komunja sprawiła, iż On, a nie kto inny stał się naszym Przewodnikiem i Pocieszycielem.

Uczył, nie ucząc, mówiąc tylko o tem, jaka ta Polska jest i co w niej jest do zrobienia. Mówił, że jest grzeszna, lekkość, niepoprawna, a jednak najbliższa naszemu sercu, najbardziej ukochana. Wielu było między nami takich, którzy Żeromskiego czytali, ale kto go czytał, kto nie opierał się czarowi, płynącemu z dzieł Żeromskiego, ten podświadomie, niepostrzeżenie dla siebie stawał się Jej rycerzem.

Nie moralizował nigdy. Z początku oddziaływał na nas poprzez społeczne wartości swoich dzieł, a potem potęgą — miłości, którą tchnęło każde jego słowo.

*) L. T. „Powrót do Boga”. Z własnego przeżycia. Warszawa, Druk. Polaka-Katolika. 1925.

Jeżeli odkrywał przed nami rany i kazał patrzeć na brzydotę życia — zmuszało go do tego umiłowanie prawdy. Nie sądził, by czynił to celowo, by uważał to za ciężki krzyż — życie nasze było brzydkie, a on musiał nam pokazać — Na s. Genjalną intuicją wczuwał się w ludzi dawno umarłych, przeczuwał tych, którzy przyjdą: Pochroń żył u Żeromskiego, zanim wojna wyrzuciła go na powierzchnię życia.

Nie oszczędzał na Żeromski w swoich książkach. Ranił boleśnie, wstydem palił twarz. A jednak dziwna moc pocieszenia płynęła z jego słów, przemożna i głęboka wiara, że poza tą nędzą i smutkiem jest przecież coś, coś o wiele większego od jego, co się kończy tu na ziemi.

Jednym z ogniw w łańcuchu historii martyrologii polskiej jest „Róża”. Utwór ten powstał w roku 1908, po k-wawem stłumieniu przez rząd rosyjski rewolucji, będącej po powstaniu styczniowym pierwszą zbrojną walką z najeźdźcą. Rewolucja 1905 roku tem jednak różni się od 31 i 63, iż po raz pierwszy do walki o niepodległość stanęły rzesze robotnicze. Ruch ten miał niewątpliwie podłoże społeczne, ale niemniej silnie przyświecała mu idea odzyskania samostanowienia bytu narodowego. Hasła głoszone przez przywódców rewolucji bliskie były sercu Żeromskiego, który w „Różę” chciał złożyć hołd bezimiennym i niezłomnym bojownikom o imię Polski.

Dzieli się „Róża” na dziewięć „spraw”, czyli aktów. Autor nazwał utwór swój „dramatem niescenicznym”. Rzeczywiście, w tej formie, w jakiej „Róża” została napisana, sceniczna jej realizacja byłaby niemożliwa: trzeba było skreślić niektóre sceny, inne skrócić, lub przesuwać. Dokonano tego w Teatrze Im. Bogusławskiego z całym pietyzmem dła dzieła Żeromskiego. Oto treść „Różę” takiej, jaką ją oglądaliśmy w teatrze:

Blanki cytadeli, obok miejsce straceń. Żołnierz rosyjski odbywa wartę, powtarzając monotonnie „Hospody pomiluj”. Nagle zjawia się Bożyszcz, ucieleśnienie boskiej siły, i Anzelm, dawny bojownik, a potem szpieg, prowokator, uosobienie zła. Popęłnione zbrodnie, krzywdy wyrządzone towarzyszym nie pozwalają spocząć duszy Anzelma. Dusza jego krąży obok mogił bohaterów, by świadczyć o wielkości tych, których zgubił. Uczynił to, bo nie umiał skonać za wolność, bo nie mógł znieść myśli, że nazawsze rozstanie się z synkiem... Błaga Bożyszcz o zmiłowanie nad dzieckiem, przeklina tych, którzy pozwolili mu żyć w nędzy i pohańbieniu, nie wleli w duszę hartu, dość hartu, by zniósł własne cierpienie.

Bożyszcz nie daje się przebłagać: największa, najcięższa kara nie minie zdrajcę, przyjdzie dzień, w którym syn go osądzi..

Sprawa druga. Dwie cele w cytadeli warszawskiej. W jednej śledzi uczony chemik Dan, w drugiej Zagozda i Czarowic. Wszystkim trzem przyświecają te same cele. Ale podczas gdy Dan szuka w nauce środków oswojzenia ojczyzny, Zagozda za cenę osobistego cierpienia pragnie odzyskać jej wolność. Tego rodzaju wyrzeczenie obce jest Czarowicowi. Murw więzienia są dlań stokroć boleśniej niż dla Zagozdy. On chce walczyć i zwyciężyć. On jest Wola, która zbawia może naród. Do roli jak cień wkrada się duch Anzelma. Za opiekę nad synkiem Olesiem obiecuje uwolnić Czarowica. Wspomnieniem ukochanej kobiety Krystyny wyczarowuje przed oczyma więźnia pamiętną scenę spotkania z Krystyną w Alejach; mówi mu o opiece, jaką go Krystyna otacza, wciąż błagając o opiekę nad Olesiem.

Scena się zmienia. Jesteśmy w ochranie warszawskiej Ławę obsiedli agenci, fachowo i cynicznie rozmawiający o swoich sprawach. Dzwonek oznajmia przyjście naczelnika. Wprowadzają dwóch więźniów: Czarowica, i Osta. Droga podstępnych i podchwytliwych pytań, obietnicami i groźbami. usiłuje naczelnik zmusić Osta do „sypania” kolegi i mistrza. Ale dusza Osta jest ze stali: nie złamia jej tortury „ochraników”, z okrzykiem „Niech żyje Polska niepodległa!” zalany krwią, pada na podłogę. Czarowic zgarnia chustką tę świętą krew, tuląc ją do ust — jako symbol znak widomy, że ta święta krew nie ma być przełana na darmo. Zaczyna się „badanie” Czarowica...

I znowu jesteśmy w celi Czarowica. Dan oznajmia mu, że udało mu się znaleźć tajemnicę ognia.. zjawia się Bożyszcz, i uwalnia Czarowica... życie jego będzie ciężkie... Przeklną go ci którym życie poświęcił... Ale praca jego pójdzie na marne, jeśli choć raz zetknięci za murami więzienia...

Hala wielkiej fabryki w Łodzi: wiec robotników. Skargi na ciężkie życie, wyzysk. Burzliwe dyskusje o sposobach poprawienia bytu, o tem czy Polska może istnieć, czy ma być częścią wielkiej Rosji.. zjawia się Czarowic. Ale słowa jego o wyrzeczeniu się, o przewyciężeniu zła w sobie nie znajdują oddźwięku.

Niedawni przeciwnicy wiecowi zgodnie przeciwstawiają się Czarowicowi.

Bal w jednej ze wspaniałych sal warszawskich. Przed oczyma rozbawionej publiczności — cóż z tego, że tam ci giną na stokach cytadeli! — przesuwają się rozmaite postacie. Cudna dziewczyna, ufan wywołują entuzjazm...

Ale gdy zjawia się postać, przedstawiająca zduszoną rewolucję, a potem skazaniec i chochoł warszawski: — rozbawione grono nie ukrywa oburzenia. „Policja! gdzie jest policja!”

Spotkanie Czarowica z Krystyną u brata Czarowica, Benedykta. Krystyna wyznaje dawne poglądy: pragnie sprzedać się bogaczowi, by uzyskać wolność duchową. Ale ziarno zasiane przez Czarowica kiełkuje powoli.. Krystyna zrywa z Benedyktem, przysięga miłość i pomoc Czarowicowi...

Czarowic drugi cios jeszcze zadaje ukochanemu bratu; żąda natychmiastowej spłaty ojcowizny, by poprzeć tem (bca i nienawistną Benedyktowi rewolucję...

Czarowic nie tylko niszczy, ale i buduje. Zakłada szkoły, opiekuje się młodzieżą. Pod jego okiem wychowują się Michaś i Oleś, synowie Osta i Anzelma. Wysłuchuje Czarowic zwierzeń małej Nastki, i obu chłopców, którzy żyją już „sprawą”. Syn szpiega pragnie naprawić ludzkość, syn męczennika — umrzeć za Polskę. To nowe pokolenie otuchę wlewa w jego serce. O ileż piękniejsze jest od starego Szczypiora, który głos sumienia głośny w szynku. Stary nauczyciel i młodzi marzyciele chwytają za skrzypce. Pieśń ta dodaje sił Czarowicowi do spełnienia ostatniego zadania, nie złamie już tej woli ponury zgrzyt, zjawia Anzelma.

Manewry wojsk rosyjskich pod Maciejowicami. Czarowic, Dan i Krystyna, złaczeni przysięgą, piekielną maszyną postanawiają zniszczyć szereg wroga. Wahają się, czy wolno im mordować niewinnych. Bożyszcz umacnia Czarowica, który daje hasło do walki. Zaczyna się bitwa. Ale nieprzyjaciel dojrzał Czarowica, który musi ratować się ucieczką. Ma jednak dość czasu, by oddać narzędzie zniszczenia Wójcikowi, swemu współwyznawcy, który wyszedł z kosiarzami na łąkę. Czarowic dostaje się do niewoli. Piekielne promienie kładą kres życiu wrogowi Bohatera. Zwęglone ciało Czarowica pada na krzak dzikiej róży, nad którą zjawia się widmo Bożyszcz.

Triumf sceniczny w Teatrze im. Bogusławskiego zawdzięcza „Róża” zarówno doskonałej inscenizacji p. Schillera, jak świetnemu przygotowaniu tekstu, dokonanemu przez pana Wilama Horzycę. Aczkolwiek niektóre orazy nurzyły zbytnią rozwekłością (Scena na blankach cytadeli, scena na wsi), całość wypadła imponująco. Pod względem reżyserskim na szczególne wyróżnienie zasługują „Bal” i „Ochrania”. Ta druga jest może zbyt brutalna... Ale tak prędko zapominamy, iż kto wie, czy nie należało nam choćby w ten sposób przypomnieć męczeństwa niezliczonych rzesz cichych bohaterów? Zelwerowicz dał genialną postać rosyjskiego urzędnika policyjnego. Dyskretne okrucieństwo, jakim przepełnił swoją kreację, robiło wrażenie tak siłne, że prawie nie do zniesienia. Czynności swoje wykonywał ten urzędnik na tle doskonale ucharakteryzowanej galerii szpiclów. Pan Justjan podkreślił tragizm Anzelma, biednej duszy proletarjusza, w której święta sprawa nie zniosła próby ogniowej ludzkiej podłości i podstępów. Oset pana Boneckiego miał w sobie chłopską polską zawziętość prawości. Scena, w której Oset błaga swoich oprawców, żeby nie pozwolili jego synkowi stać się szpiclem, miała w sobie potęgę grozy.

Czarowicem był pan Adwentowicz. Rola to trudna, gdyż wymaga od aktora olbrzymiej dyskrekcji i subtelności, by nie wołać w ton rezonerski. Przeważnie udało się panu Adwentowiczowi tego tonu uniknąć, i uderzyć w prawdziwą podniosłość. Wielka technika tego artysty uczyniła całość roli Czarowica kreacją interesującą, i przypomniła raz jeszcze, jak pożyteczną siłą mógłby być pan Adwentowicz, gdyby był odpowiednio użyty.

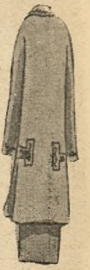
Krystyna pani Solskiej należy do najlenszych ról tej wielkiej artystki. Zwłaszcza scenę pojednania z Czarowicem zagrała przepysznie.

Z innych wykonawców wyróżnili się: panna Drabikówna (doskonała Nastka), panie Balcerkiewiczówna i Kuncewiczówna, oraz panowie Nowakowski, Kurnakowicz, Białkowski, Strachocki, Szyndler i inni.

Dekoracje pp. Pronaszaków interesujące, ale nierówne i niejednolite. Piękny był obraz „Pod cytadelą”, ciekawie rozwiązana sala balowa, do której wprowadzono motyw cytadeli, i hala fabryczna: tło jej tworzy olbrzymie koło, w które wplecione są żywe ciała robotników. Do mniej udatnych zaliczam celę więzienną i wieś — pojętą zupełnie geometrycznie, na tle tym kostjumy realistyczne są niemiłym zgrzytem. Z. P.

MODY I ROBOTY



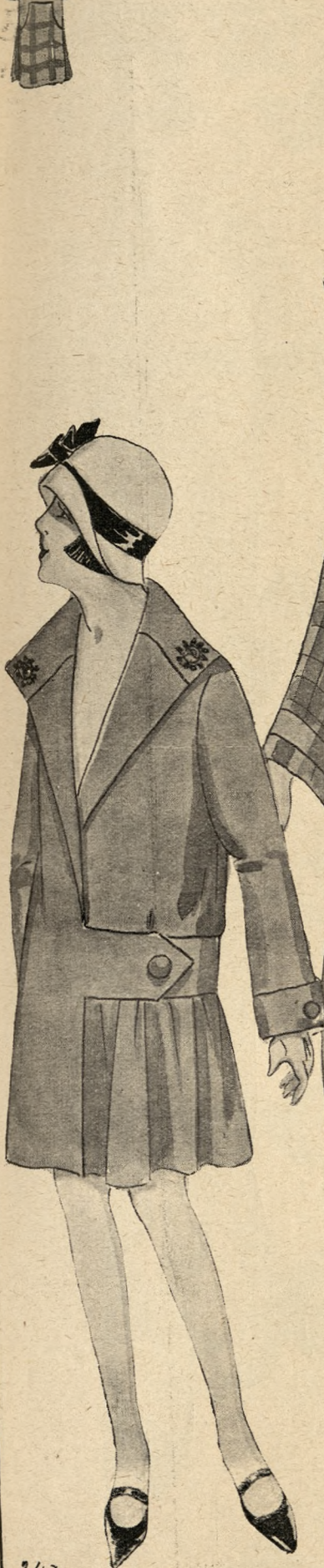


243.

244.

245.

246.



247



248



249



250



252



253



254



255



256.

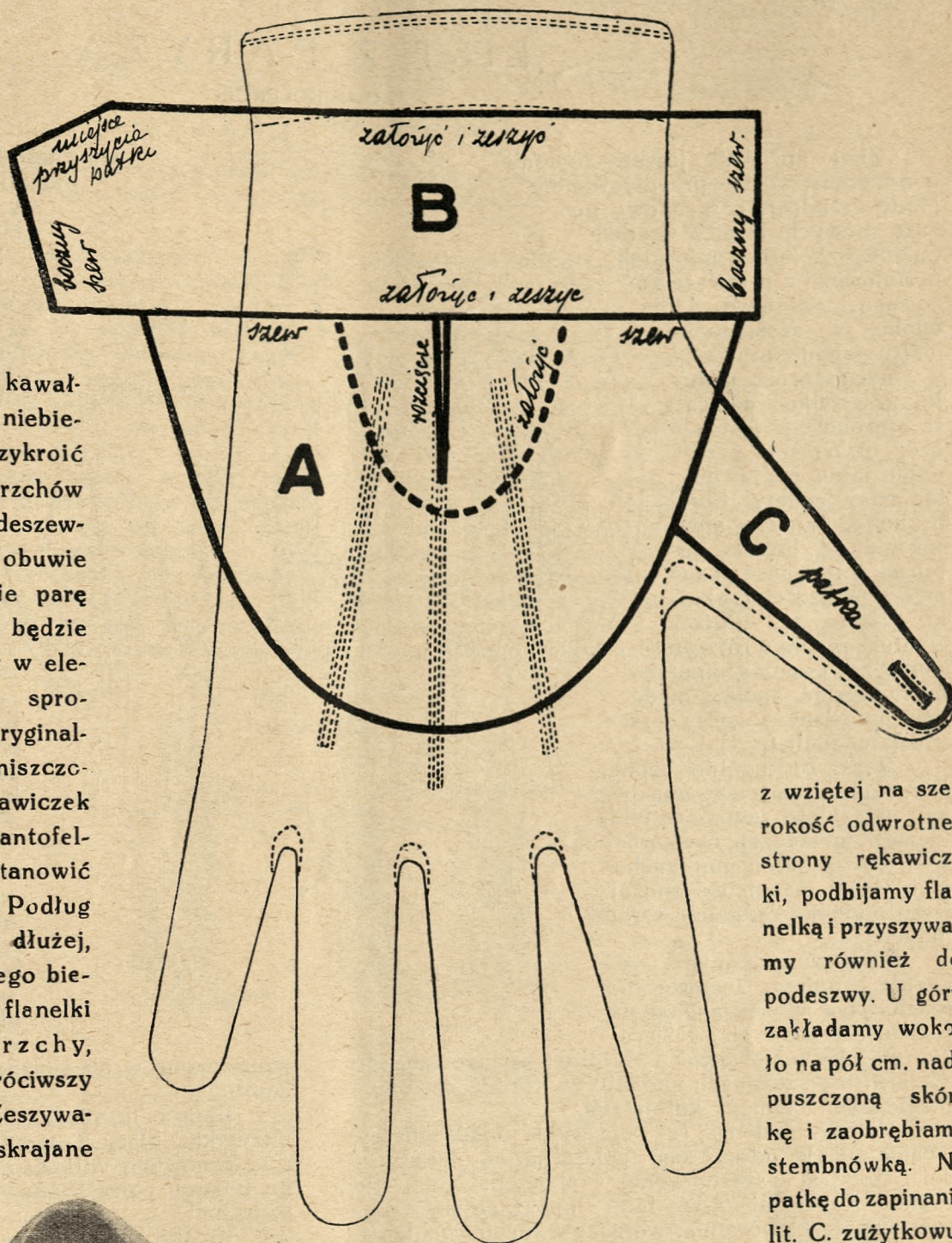


257

Wzór na szal haftowany na crêpe de chiné'e, sztucznym jedwabiem lub filoflosem.

NAJTAŃSZE PANTOFELKI

Znoszoną parę rękawiczek ojca można zużytkować na pantofelki dla synka. Oprócz pary rękawiczek trzeba znaleźć w resztkach, które każda skrzętna gospodyni w jedno miejsce chować powinna, kawałki flanelki białej, różowej, lub niebieskiej. Na miarę nóżki przykroić z miękkich skórkowych wierzchów od pokojowych pantofli podeszewki, a w ten sposób nowe obuwie kosztować nas tylko będzie parę godzin miłej pracy. Co to będzie śmiechu i radości, jak obuty w eleganckie pantofelki malec spróbuje stawiać kroki w tak oryginalnym obuwu. Z najmniej zniszczonych zawsze wierzchów rękawiczek lit. A kroimy wierzchy pantofelków, których przybranie stanowić będzie wyszycie rękawiczki. Podług formy skrojonej o jeden cm: dłużej, jak stary pantofelek, z którego bierzemy miarę, krajemy z flanelki i z rękawiczki razem wierzchy, które przyszywamy, odwróciwszy robotę na lewo, okrętką. Zeszywamy z bokami, paski lit. B skrajane



z wziętej na szerokość odwrotnej strony rękawiczki, podbijamy flanelką i przyszywamy również do podeszwy. U góry zakładamy wokół na pół cm. nadpuszczoną skórkę i zaobrobimy stembnówką. Na patkę do zapinania lit. C. zużytkujemy duże palce starej rękawiczki, odpowiednie długością i szerokością. Podbijamy je flanelką, zakładamy wokół, przyszywamy szerszą stroną do pantofelka. Z przeciwległej jego strony robimy pentelkę wielkości guziczka, przszytego po drugiej stronie pantofelka. Można również, porządnie wykończywszy, przyszyć zatrzaski. Chcąc przybrać pantofelki wyszyć je wokół ozdobnym ścięciem nitką koloru tego co wyszycie rękawiczki. Wykończony pantofelek odwrócić, podeszewkę z tektury, nakryć flanelką i watą, dopasowaną podług formy, wyłożyć nią środek pantofla tak, aby szwy, którymi na okrętkę przszyty jest wierzch do podeszwy, nie uwierały.



Można także robić te pantofelki na starych. Jednak sposób tu opisany jest lepszy, lżejszy i łatwiejszy.

LIST Z PARYŻA

NOWE KOLEKCJE

Zima nie myśli jeszcze zupełnie o odwróceniu, a już przedstawiciele Mody urządzają gorączkowo pokazy nowych letnich modeli. Suknie o kolorach miękkich, pastelowych z przewagą różowego i zielonego. Linja ogólna w zasadzie jest mało zmieniona: wąska w górze, szeroka u dołu, z tą tylko różnicą, że szerokość ta jest raczej otrzymana przez grube fałdy, niż jak dotąd przez „godety“, czyli klosze. Fałdy są stosowane od boków ku tyłowi, zostawiając przód najczęściej gładki. Fałdy te, ułożone według rysunku otrzymanego za pomocą umiejętnych wycięć, nadają modelowi pożądaną i zgóry przewidziany ruch (r. 1).

Poza tą ogólną cechą, bez względu na to czy ona będzie osiągnięta zapomocą fałd, ukosów, marszczeń, czy karbowania, każdy Salon mód zachowuje swój specjalny rodzaj, wyróżniający go zupełnie wśród innych.

Klasyczna „Lanvin“ pokazuje tualęty, inspirowane przez wpływ włoski jako też na francuskich wzorach z 1880 roku. Obcisłe małe taftowe staniczki zastosowane do wielkich marszczonych spódnic w formie dzwonu i przybranych cennymi koronkami.

„Lucien Lelong“, tak niezwykle indywidualny, lansuje suknie, której sam nadaje nazwę „kinetycznej“, to jest przeznaczonej i skombinowanej dla ruchu. Rozchylające się fałdy, unoszące się w powietrzu poły, karbowania, tworzące w ruchu wachlarze.

U „Cybera“ widzimy niesłychaną subtelność i wyrafinowane przybrania. Specjalnie nowe i oryginalne dekolty haftowane, obszyte galonem, lub koronką bez względu na kołnierz.

Wielki „Jenny“ ubiera zawsze młodo i szycownie, „Philippe et Gaston“ bogato, „Poiret“ wspaniale, „Premet“ jest usobieniem prostoty i elegancji, „Patou“ niezwykle dystyngowany.

W urozmaiconej kolekcji „Francis'a“ widzimy bardzo udane kombinacje, w których wszelkie wpły-



wy znajdują odpowiedni wyraz. Między innymi smokingi na wiosenne kostjumy, zupełnie wyraźne smokingi, kilka bardzo udanych ensemble'ów (suknia i palto) pastelowych z „crêpe de chine'u“ i „toile de laine“ (rys. 2). Wszędzie hafty, dużo haftów. Widziałam między innymi i podziwiałam hafty, pochodzące z firmy Sklar'a. Tworzą one galony, imitując kwiat przypięty na ramieniu, kamizelki, kołnierze, pasy, lub koncentrują się wreszcie w jednym motywie tak umieszczonym i tak ciekawym, że sam sobą wystarcza za suknie, tworząc jej całe przybranie. Wreszcie dodam jeszcze słów parę na temat domowej tualęty, gdyż we wszystkich widzianych przezemnie kolekcjach przesunęło się wiele wspaniałych pyjam i „robe d'intérieur“.

Spodnie bajadery z czarnego atlasu obcisłe w kostce, noszone z tiuniką do kolan, wcięta i wykrojona z autentycznej chińskiej bledo niebieskiej sukni.

Drugi model prostszy z bluzą z kremowego crêpe de chine'u, przybraną żabotem i

wpuszczoną w aksamitne chabrowe spodnie z szelkami.

Lecz o ile piękniejszą i wdzięczniejszą nad te wszystkie bluzy i spodnie jest „robe d'intérieur“ z cytrynowego voile de soie, drobnitko karbowanego po bokach i przybrana jedynie ręcznie haftowanymi ażurkami.

Krótko obcięte włosy nadają już sukni kobiecej tyle specjalnego wyrazu, że zapożyczanie innych jeszcze cech męskiej garderoby jest zupełnie chybionym i zbytecznym efektem. I maleńka, świeżo ostrzyżona, błyszcząca główka jest bezwzględnie bardziej niepokojącą i ciekawą pod postacią prawdziwej kobiety, niż banalnej i wszędzie spopularyzowanej „garçonne“.

W dziedzinie mody trzeba szukać kontrastów i nie przeciągać struny na korzyść suchości, która z wdziękiem kobiecym nie idzie w parze. Sekwa.



WALKA Z WIATRAKAMI MODY NA PRZEŁOMIE DWÓCH WIEKÓW

Powrót do natury i nacjonalizm. Daniel Chodowiecki i suknie reformowane. Strój staroniemiecki jako mundur spiskowców Francuskie bufki, kołnierze à la Marja Stuart i hiszpańskie berety miały świadczyć o cnotach niemieckich.

Francuski strój, przyjęty bez zastrzeżeń w całym eleganckim świecie, już od drugiej połowy XVIII wieku znajdował nielicznych, ale zaciętych wrogów. Z dwóch źródeł płynął wąski, ale wytrzymały strumyczek reakcji. Jedno było głębokie i czyste i nazywało się „powrotem do natury“, drugie miało dno płytkie i wodę zmaconą, a na imię mu było „nacjonalizm“. I tak płynęły te dwa prądy odmienne, czasem krzyżując się i mieszając, to znów dzieląc się na odrębne koryta. A krucha skałka modnej sylwetki spoglądała z beztróskim uśmiechem na wątle fale, szarpające jej smukły, wygięty nakształt szyi labędziej, obcasik, nie sięgając nawet kostki.

Bo przecież o te wysokie obcasy przedewszystkiem chodziło. No i o sznurówkę! Zwalczano te dwa wrogi ludzkości w imię higieny, moralności, zdrowia przyszłych pokoleń. Wytoczono najcięższe działa: względy estetyczne. Wszystko napróżno! Dopiero, gdy czarowna Kleopatra mody sama przyłożyła do swej piersi jadowitego węża klasycyzmu, stał się cud. Wysoki obcas i ciasny gorset odpadły od postaci kobiecej, jak plewa odpada od dojrzałego ziarna.

Zanim się to jednak stało, całe zastępy gorliwych zbawców ludzkości miały sposobność zapisania mądrymi traktatami stosów poźółkłej bibuły i zużycia pęków gęsich piór, które na przekór swemu pochodzeniu przez tyle wieków były nieodłącznymi towarzyszami mądrości. W tej krucjacie przodował rzecz prosta kraj „bojaźni Bożej“ — Niemcy. Słynny anatom Sömmering w r. 1788 przemawiał do sumienia „kobiet niemieckich, które jeszcze nie zatraciły w sobie prawdziwego ducha niemieckiego“, nawołując przeciw szkodliwości sznurówki; znany ogólnie Camper wskazywał na zgubne skutki wysokich obcasów.

Ci dwaj wrogowie mody stanęli na czele długiego korowodu znakomitych lekarzy, z których np. Józef Frank i Walter Vaughan rozszerzyli swoje pole działania i na strój męski, zwalczając szkodliwość obcisłych spodni.

Przytoczona powyżej dedykacja Sömmeringa, w której tak dobitnie podkreślona jest niemieckość, świadczy, że względy natury nacjonalistycznej brane były pod uwagę narówni z motywami ściśle naukowymi i gdy chodziło o zwalczanie nienawistnych nowinek francuskich, powrót do natury chętnie i dowolnie utożsamiano ze wskrzeszeniem narodowego stroju niemieckiego.

W r. 1786 Bertuch otwiera dyskusję na temat: „Czy jest możliwym i pożytecznym wprowadzenie narodowego stroju niemieckiego?“ bez poważniejszych rezultatów, gdy tymczasem praktyczniej usposobiony wydawca „Almanachu dla pań“, Franciszek Ehrenberg w Lipsku skłonił w 1785 r. Daniela Cho-

dowieckiego do stworzenia modeli „sukien reformowanych dla kobiet“.

Znakomity artysta wziął za punkt wyjścia szatę grecką. Tą drogą zdobyte przezeń pomysły strojów domowych, spacerowych, wizytowych, nie miały nic wspólnego z tą żalostną kombinacją koszuli nocnej i infirmerskiego fartucha, którą szumnie ochrzczono mianem „sukni reformowanej“, a której jedynym zadaniem było zniechęcić kobiety do prawdziwej reformy i postępu, zgodnego z wdziękiem i estetyką.

Raz połączona ambicja narodowa nie mogła się jednak długo uspokoić. Rzucone zarzewie nacjonalizmu tliło się pod popiołami nieudanych prób i poronionych pomysłów. Ten cały ruch jest dowodem, jak wielką wagę, często nawet podświadomie, przywiązywało wówczas do stroju. Źródła tego psychologicznego faktu szukać należy jeszcze w zamierzchłym średniowieczu, kiedy poszczególne stany różniły się strojem, zwyczajowo i prawnie uświęconym. To ściśle rozgraniczenie klas przetrwało na kontynencie, aż do Wielkiej Rewolucji, gdy tymczasem turyści, zwiedzający Anglię, ze zdumieniem spostrzegali, że wyspiarze od dawna już zarzucili zwietrzałe przesady i że zarówno lord, jak prosty rzemieślnik, nie wyróżniali się strojem wśród tłumu.



Upadek dawnego „régime'u“ wpłynął radykalnie na zmianę mody. Burzono z zaciekłością wszystko, co w najdrobniejszym bodaj szczególe przypominało znieawidzoną przeszłość. Po zmianie kalendarza i nadaniu nowych nazw kartom do gry przyszła kolej na stroje. I tu stępiło się ostrze rewolucji. Namiętne wysiłki Dawida w kierunku wskrzeszenia stroju antycznego nie wyszły poza zaczarowane koło prób o charakterze maskarady i teatralnego kostjumu. Na nic nie przydały się publiczne procesje niewiast, starców, mężów, dziewczyc i pacholąt, udrapowanych i uwieńczonych po grecku. Damy chętnie wprawdzie przyjęły modę „à l'antique“, umożliwiającą obnażanie wdzięków, ale tyleż w tem było zasługi Dawida, co wpływu „mody angielskiej“. Zato mężczyźni zachowali się opornie wobec prób wprowadzenia tuniki. Wysokie kołnierzyki, halsztuki, mankiety, a nadewszystko spodnie okazały się fcrteczą nie do zdobycia. Kto wie, czy decydującym motywem nie była tu kokieteryja? Wiemy, my kobiety nowoczesne, ze smutnych świadectw na plaży, jak szczupła ilość panów zyskuje na głębokim dekolcie kąpielowym...

Niemniej bezowocne były próby, jakie w 20 lat później pod wpływem podnieconych uczuć patriotycznych podjęto w Niemczech w celu wprowadzenia kostjumu narodowego, jako wyrazu „germańskiej obyczajności“. Ideologia poszła swoją drogą, a życie swoją. Ów rzekomo „czysto niemiecki“ strój nie był niczem innym, jak kompilacją mód średniowiecznych

i renesansowych, które, ściśle rzecz biorąc, nie miały w sobie nic niemieckiego. O patriotyzmie germańskim miały świadczyć francuskie bufki, kołnierze à la Marja Stuart, hiszpańskie berety i t. p. Nawet strój „teutoński”, noszony przez młodzież szlachecką we Frankfurcie nad Menem w 1815 roku, wyróżniał się jedynie krojem wojskowym i skąpem zastosowaniem bielizny, której udział ograniczał się do charakterystycznych kołnierzyków, powszechnie znanych pod nazwą „Vatermörder” („ojcobójca”).

„Staroniemiecka” moda wyzyskana została umiejętnie przez krawców, którzy stworzyli nową gałąź przemysłu konfekcyjnego na rachunek uczuć patriotycznych. W Hannoverze u Lichtenauera można było nabyć kaftaniczki, nadające każdemu ubraniu styl „staroniemiecki”. W Kassel wystawiano kryzy à la Rembrandt po 3 talary. Mamy tu do czynienia z takim samym „humbugiem” kupieckim, jak ten, który z każdej kaptoty zapomocą szamerowania robił polską czy węgierską czamarę, zapomocą kimona strój japoński, a przez zarzucenie mantyli z każdego czupiradła niewieściego tworzył autentyczną hiszpankę.

Zaznaczyć należy, że losy mody narodowej poszły w Niemczech we wręcz odmiennym kierunku, niż we Francji. Niemieckie kobiety, wierne tradycjom oszczędności, pozostały głuche na szumne hasła. Tymczasem podchwyciła je łatwo zapalna młodzież męska. Maurycy Arndt w krótkiej broszurze p. t. „Słówko o obyczajach, modzie i ubiorze”, żądał w imię cnót starogermańskich powrotu do języka i stroju niemieckiego. Ziarno padło na urodzajną glebę. Młodzież z zapałem podniosła myśl Arndta i przy udziale jednego z mistrzów sztuki krawieckiej stworzono ubiór męski, powszechnie przyjęty jako narodowo-niemiecki. Składał się on z długich, półszerokich spodni i zczelnie zapinanego surduta, przypominającego krojem wojskową kurtkę z 1914 r. Studencka i artystyczna młodzież Niemiec ówczesnych przyswoiła sobie z zapałem ten strój.

Nawet bawarski następca tronu, znany jako król pod imieniem Ludwika I, bawiąc w Rzymie w r. 1818, używał tego ubioru i starał się go rozpowszechnić, dając pieniądze tym artystom, którzy byli zbyt biedni, aby go sobie sprawić. Purytańska prostota i surowość, która miała być symbolem cnót niemieckich, nie na długo mogła wystarczyć żadnej zmian młodzieży. Próżność przyszła do głosu, dając wyraz swym tendencjom w fantastycznych dodatkach.

„Jedwabne cienkie sznury obejmowały surdut, ozdobne kołnierze naśladowały gotyckie sklepienia, różnokolorowe pasy oznaczały rozmaitość cnót staroniemieckich, berety były ozdobione piórami”. Tak Steffens maluje nam strój narodowy. Rozluźnione

więzy mody dawały pole najdziwniejszym ekstrawagancjom. Piotr von Bohlen nosił surdut z haftowanym kołnierzem, białą szarfę z wyszytymi na niej sentencjami hebrajskimi i czerwoną czapkę, na której wypisane były arabskie przypowieści. Całość, jak widzimy, czysto niemiecka. Mały Henryk Leo ozdobił swój surdut czarnym aksamitem, szeroki haftowany na muslinie kołnierze od koszuli obejmował obnażoną szyję, a na blond kędziorach, spadających aż na ramiona, spoczął nakształt motyla, luźny beret. Fryderyk Förster stroił się w beret z fiołkowego aksamitu, na którym kochająca ciotka wyhaftowała złotem liście dębowe.

„Fantazyjny haftowany beret na długich wijących się włosach, krótka czarna kurtka z szeroko wyłożonym białym kołnierzem i na żelaznym łańcuszku nie topór, ale sztylet, którego hebanowa rękojeść tkwiła w trupiej czaszce ze srebra. To był mój ubiór”, pisze Wilhelm von Kugelgen z naiwną dumą. „Strój Manfreda z operetki” dodajmy od siebie.

Tymczasem sprawa kostjumu narodowego w Niemczech przybrała zupełnie niespodziany obrót. Trzeba nieszcześnie, że zabójca hofrata Kotzebuego był ubrany w strój staroniemiecki, który odtąd zaczęto uważać za mundur spiskowców i morderców politycznych. Do nieprzychylnego nastroju starszego pokolenia względem ubioru narodowego przyczyniła się arogancja młodzieży, korzystającej z każdej sposobności, aby zagarnąć berło panowania, choćby w dziedzinie mody.

Fryderyk Wilhelm III zabronił pruskim urzędnikom noszenia „niemieckiej” kurtki, a gdy wielki książę Konstanty wyraził swe niezadowolenie z powodu wielkiej ilości młodzieńców, używających stroju „narodowego” podczas jego pobytu w Niemczech, — pruska policja otrzymała rozkaz bezwzględnej tępienia zgubnych nowinek. Taki był smutny koniec tego kwiecia niemieckiego entuzjazmu, który zwiadł, zwarzony mroźnym tchnieniem pruskiej dyscypliny, zanim zdążył wydać owoce. W Austrii strój staroniemiecki działał na władze, jak czerwona płachta na byka. Zwolenników jego wyśmiewano w humorystycznych „blattach” i traktowano jako zdrajców stanu. Romantyczno-nacjonalne prądy w Wiedniu znalazły ujście w organizacji tak zw. „Rycerstwo Błękitnej Ziemi na grodzie Seebenstein”. Mistrz tego zakonu rycerskiego Antoni Dawid Steiger przechadzał się po ulicach Wiednia w aksamitnym kolecie, w butach muszkieterskich i w berecie, a za nim służba w strojach giermków średniowiecznych. Ta maskarada wyśmiewana przez Adama Bänerle w przypowieści o płochliwym rycerzu, wydała się policji tak niebezpieczną, że w r. 1823 stowarzyszenie rycerskie administracyjnie rozwiązano.

Spero.



REFORMA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

(ciąg dalszy)

W ważnym dziale kolorystyki i oświetlenia mieszkania muszą iść ręką w rękę malarz, inżynier-elektrotechnik i higienista. Ileż błędów popełnia się np., gdy chodzi o kolor tapet, mebli, wyściełań! Jak mało osób zastanawia się nad tem, że jasne (białe, żółte) obicie powiększa pokój, że jasny obrus odbija światło i odgrywa niejako rolę księżycy względem reszty pokoju, że wreszcie zabarwienie i oświetlenie pokoju wpływa na usposobienie mieszkańców. Nierzadko spotykamy w pokojach dzieciennych, gdzie dzieci uczą się, bawią i robią ręczne roboty, wysoko u sufitu zawieszane lampy, chociaż każdemu znana jest elementarna zasada, że światło przy jakiegokolwiek pracy winno padać od lewej strony. Nie mówię już o pokoju służbowym i o kuchni. Tam schroniły się wszystkie przeżytki i rzekome „oszczędności”, tam przyrządza się nieraz potrawy w mrocznych, mistycznych zakątkach, przy skąpem świetle jedynej żarówki.

Racjonalna kuchnia powinna być słoneczna, zaopatrzona w duże okna, drzwi szklane, jak się wyraziła pewna autorka francuska, ideałem byłyby szklane ściany, w braku ich należy dbać o jasny kolor murów. Nad głównymi warsztatami pracy: kuchenką gazową, stołem kuchennym, zlewem do zmywania naczyń potrzebna jest lampka, natomiast można się przędziej obejść bez lampy na suficie.

Jak słusznie podkreślił inny dziennikarz, trzeba umieć indywidualizować oświetlenie, widzieć w niem jeden z najciekawszych działów sztuki dekoracyjnej: w salonie, bawialni, buduarze rozmieścić kolorowe światła i abażury, wystudjować światłocień, zastosować odpowiednio lampy ścienne, świeczniki, kandelabry, nie żałować kontaktów i wyłączników; w jadalni ośrodkiem jest stół, od którego światło winno promieniować na cały pokój, najbardziej wskazane jest oświetlenie naturalne, koloru światła dziennego.

W sypialni trzeba oświetlić szafę lustrzaną i toaletę (do tej ostatniej lepiej się nadaje światło, padające z frontu i trochę z góry, niż lampka stojąca, która pozostawia połowę twarzy w cieniu i wskutek bliskości żarówki wydziela zbyteczne ciepło). Na stolikach nocnych winny stać lampki, łagodnie przysłonięte abażurami; najlepsze są, zdaniem naszym, zaopatrzone w ruchomą oś, by oświetlić zależnie od potrzeby część pokoju, stolik, lub łóżko. Niekiedy przydaje się, w razie zamieszkania pokoju przez

dwie osoby, lub więcej, lampka nocna, przymocowana pod łóżkiem (zapala się ją naturalnie zapomocą wyłącznika, umieszczonego nad łóżkiem, lub na nocnym stoliku). Taka lampka pozwala wstać w nocy i poruszać się swobodnie po pokoju bez obawy zbudzenia śpiących. Do gabinetu nadają się, zależnie od rodzaju pracy, rozmaitego rodzaju lampy, przymocowane i na ruchomej osi, o mniej, lub więcej intensywnym świetle. Najzdrowsze dla oczu są abażury zielonej barwy, łagodzące światło. Wogóle dbać należy o to, by obfitość lamp i wysokie natężenie żarówek nie powodowały jaskrawego oświetlenia, tak szkodliwego. Zapobiegają temu matowe żarówki, coraz bardziej wchodzące w użycie. Nie sposób zresztą wyliczyć wszystkich udogodnień w tej dziedzinie, każdy dzień przynosi nowe typy lamp i żarówek.

Parę słów jeszcze w kwestji przewodników elektrycznych, kontaktów i wyłączników. Rozumie się samo przez się, że druty winny być jak najmniej widoczne i dlatego trzeba już w chwili urządzania domu, czy mieszkania zastanowić się nad rozmieszczeniem lamp w pokojach. Kontakty i wyłączniki ściennie należy ulokować w najodpowiedniejszych po temu miejscach, a więc na wysokości ręki i tak, aby wchodząc do pokoju można było od razu go oświetlić. Tak np. przedpokój musi mieć dwa wyłączniki, idąc otworzyć drzwi, nie zaś jak widziałam w pewnym domu, w pośrodku ściany, co zmusza do błędzenia poomacku i rozbijania się o meble. Naogół, o ile pokój ma jedno wejście, najlepiej umieścić wyłączniki przy drzwiach pokoju sąsiedniego, by można było wejść już do jasnego pokoju. Kształt kolor i sposób naciskania wyłącznika przedstawia dużo urozmaicenia, baczny obserwator zauważy, że nawet w tym małym szczegółiku, jak wszędzie, gdzie wkracza elektrotechnika, święci triumfy zasada najmniejszego wysiłku—coraz bardziej wchodzą w użycie guziczki, które się naciska, lub przesuwa zgóry nadół.

Uwagi powyższe odnoszą się też, mutatis mutandis, do dzwonek: należy je umieszczać w miejscach jaknajbardziej dogodnych, przy drzwiach, na stole jadalnym (lepszy dzwonek stojący, przesuwany na długim sznurze, niż zwieszający się w środku, do którego trzeba unosić się), na nocnym stoliku (dzwonek-przycisk), nad łóżkiem (dzwonek i wyłącznik w formie gruszki).

F. Sachsówna

O WYCHOWANIU NASZYCH „NAJMŁODSZYCH“

Często pytana jestem jak w dzisiejszych warunkach, kiedy zaledwie na jedną służącą i to nie każdy zdobyć się może, dać sobie radę z najmłodszymi pociechami, które prawdziwie jako „najdroższe“ najwięcej kosztują matkę trudu i pracy, absorbują jej czas i, powiedzmy pocichu, są nieraz bardzo męczące. Przyznaję, że trudna to rzecz, zwłaszcza w samych początkach, później pomogą nam freblowskie komplety i na wzór Poznańskiego zakładane „Przedszkola“, gdzie dzieci pod troskliwą i uświadomioną opieką miło i z pożytkiem czas spędzają. O zaletach i wadach takiego wychowania nie będę

dziś wspominała, pragnę bowiem wyjaśnić kwestję, w której ostatnio odebrałam zapytanie, a która myślę zainteresuje niejedną z Pań. „Czy małe dzieci powinny jadać z rodzicami przy stole, czy też osobno, a jeżeli osobno to do jakiego wieku.“ „Mam dwoje dzieciaków, zwykle ślicznych i miłych, ale czasami, jak dzieci zresztą, nieznośnych. Mając przytem szczupłe mieszkanko, nie mam osobnego kąta do ich zabawy. Wspólnie ze służącą „do wszystkiego“ załatwiamy wszelkie sprawy i prace domowe, dziećmi naturalnie sama się zajmuję, bo pomimo ciężkich warunków w jakich

obecnie żyjemy, chciałabym żeby nie tylko były chowane, ale i dobrze wychowane, chciałabym nauczyć je tego czego mnie uczyli, przelać w nie te zasady, które we mnie wpojono. W dodatku lubię, aby moje mieszkanie, chociaż małe było czyste i wytworne, aby pracujący dla nas wszystkich ojciec, wracając do domu, mógł w nim odpocząć w atmosferze miłej, spokojnej i nacieszyć się małymi, które bardzo kocha i bawi się z nimi, o ile są grzeczne, ale które męczą jego skołatany umysł, skoro krzyczą i hałasują. To też proszę o radę jak i co robić, aby wszystko było tak jak pragnę, to jest skądnie, cicho i spokojnie."

Trudny naprawdę orzech do zgryzienia, takie zapytanie, ale ufna w cuda, których dokonać potrafi dzielny umysł i kochające serce kobiety, spróbuję. Otóż, uzbroiwszy się w duży zapas cierpliwości, dobrej woli i zaparcia się siebie, przy umiejętnym zorganizowaniu można i w tak trudnych warunkach dojść do doskonałych rezultatów.

Naturalnie trzeba zacząć pracować nad dzieckiem „od początku“, od urodzenia przyzwyczajając je do jedzenia, spania i zabawy w określonych stałych godzinach, a trzymając się wiernie tego systemu. Prędko doczekamy się dobrze wychowanych pociech, nie zatruwających, ale uprzyjemniających nam życie. Godzin trzeba pilnować się bardzo, osoba wychowująca i dzieci powinny chodzić, jak dobry zegarek, każda minuta opóźnienia wprowadza zamęt i dezorganizację w naszym małym państewku. Często słyszemy o wrodzonych zaletach ładu i porządku u dzieci. Największa to pochwała i zadowolenie matek te zalety, wynikły bowiem z jej starań i pracy w pierwszych latach życia dziecka. Jadać powinny dzieci bezwzględnie osobno, najlepiej przed posiłkiem rodziców, choćby dlatego, że nie wszystko, co rodzice jedzą, pożytecznym i zdrowym jest dla dziecka, a za wiele byłoby żądać od dzieciny, aby z podda niem patrzyła na smaczne kąski których nawet spróbować jej nie dali, niktące w ustach innych, i nie zareagowała na to po swojemu, głośnym krzykiem i awanturą.

Po co narażać dzieci i siebie na przykrość? tembardziej, że dziecko, jedzące ze starszymi, nie naje się nigdy do syta. Takie „awanturki“ kończą się najczęściej „kapitulacją“ starszych, bo czy to z miłości, czy też dla świętego spokoju dają wkońcu dziecku to, o co się napiera, i nie tylko mogą mu zaszkodzić, ale co gorsza podkopują swój

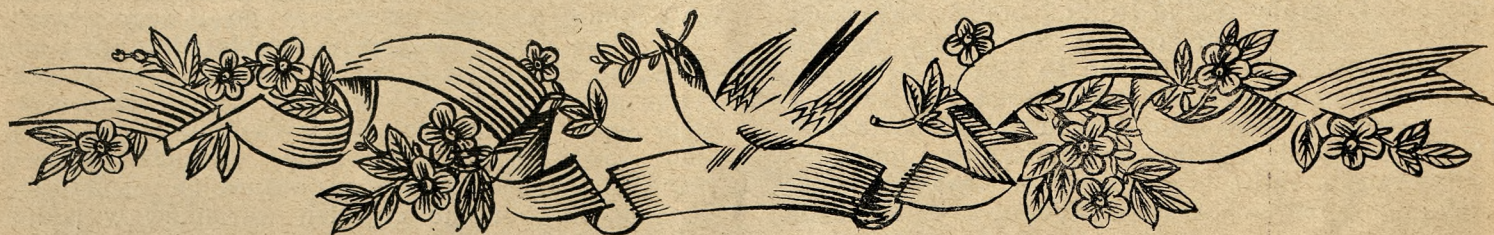
autorytet, pokazując, że krzykiem i niegrzecznością dopnie celu i złamie stanowczość tak konieczną w postępowaniu z nimi. Lepiej nie dawać im przykładu takiej czysto ludzkiej słabości, lepiej także móc nie zajmować się nimi jedząc samemu. Dobrze nakarmione małństwo będzie polubowne i łatwiej zachowa się cicho, bawiąc się w tym samym pokoju, na co w braku innej jak matka opieki zmuszeni jesteśmy pozwolić. Tej ostateczności możemy wprowadzić też uniknąć ku zadowoleniu stron obydwóch, przyzwyczajając dzieci do sypiania w porze posiłku rodziców. Nauczyć dzieci można wszystkiego, ułożyć je jak się chce, byle konsekwentnie postępować od chwili kiedy na świat przyjdą. Dużo trudności i przykrości wynika, jak dla matki, tak i dla dziecka, z nieumiejętności i nieświadomości matki w tym kierunku. Wychowanie dziecka rozpoczyna się, tak jak mówiłam, z chwilą jego przyjścia na świat i tak, jak każda praca musi być wykonana sumiennie,

starannie, z dużą wytrwałością, z taktem, którego nikt tak bardzo nie odczuwa jak dzieci, bez nagłych zmian i niespodzianek. Takie postępowanie jest nie tylko trudne, ale czasem bardzo przykre, pomimo to nie wolno ani na krok odstąpić od nakreślonej linii postępowania, bo dzieci, ogólnie bardzo mądre i przebiegłe istotki, wyzyskują na swój beneficjusz każdą chwiejność, każde załamanie się woli wychowującej je osoby. Dziecko choć jada osobno, powinno być przyzwyczajone do spokojnego siedzenia i porządnego jedzenia przy stole, tak bardzo lubiane przez malców jedzenie rączkami i przelewanie napoi w garnuszki jest niedopuszczalne. Dopiero jak dziecko nabierze dobrych zwyczajów

i nauczy się nie rozlewać zupy, nie plamić serwetki, nie zalewać sukienek, nie napierać się, a przede wszystkim zrozumie dokładnie posłuszeństwo i co można i nie można robić, może być dopuszczone do wspólnego z rodzicami stołu.

Wtedy te „czasem śliczne, a czasem nieznośne“ istotki przestaną na zawsze być nieznośnymi i zawsze będą tylko przemiłe. Do tej pory radzę wszystkim mamusiom, dbałym o spokój w domu, o zdrowie i opinię swoich pociech, karmić je osobno, nie narażając na niezadowolenie ojca i na przedwczesną krytykę swych chprzyciaciółek

W dalszych pogawędkach na ten temat postaram się nauczyć moje czytelniczki jak zająć i zabawić tych naszych najmłodszych tyranów. J. S.



Z KUCHNI WIELKOPOSTNEJ NASZYCH PRAPRABABEK

Któż zrozumie nieznane już za naszych czasów
Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,
Z ingrediency mi pomuchl, figatelów,
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunelów.

Przodkowie nasi pilnie przestrzegali postów, tak samo, jak obfitego spożywania mięsiwa w Święta. Lecz dla smakoszków post nie był umartwieniem, raczej miłą dywersją w programie posiłków. Książka kucharska, uwieczniona w Panu Tadeuszu („Kucharz doskonały”), w niej spisane do kładnie wszystkie specjalizacje stołów polskich”), cały jeden tom poświęca przepisom potraw postnych.

Gdyby nie dobroczynny przymus postu, polacy ówczesni zniszczyliby sobie doszczętnie zdrowie, ciężką, korzenną i tłustą kuchnią, z przewagą mięsa w menu, ignorującem prawie jarzyny. Ale w poście przychodziły ryby, których używanie — jak twierdzi „Kucharz doskonały” — „najwięcej służy ludziorom krwistym i mocnego temperamentu (a takim był prawie każdy szlachcic polski), gdyż krew chłodzi” — natomiast „flegmatykom, z przyczyny wilgotności, mianey w sobie, są szkodliwe...” osobiście liny, zaś „okonie są każdemu wiekowi i temperamentowi zdrowe,” a pstrąg „ryba delikatna w guście, pomnaża humory zdolne do płodu i inne podobne skutki czyni”.

Wogóle „Kucharz” jest zarazem instruktorem higieny, a nawet — psychologiem. Jakże dopiero gospodyni powinna sobie, była łamać głowę, aby na temperament pana małżonka wpłynąć dodatnio, wszystkim domownikom, a i gościom dogodzić. Dowiadujemy się z tej książki, że „raki służą do używania ludziom młodym i mocnego temperamentu...” ba! że „mięso z nich posilające, gorącość płuc rozwalnia, kaszel uśmierza i niestrawności niektóre żołądka z ostrości humorów będące uspakaja”.

Cóż z tego? zaraz odwrotna strona medalu: „lubo mają w sobie sok naturalny, mocny i posilający, jednak przytrudne są do strawienia i... często je jeść wystrzegać się należy, bo zdrowiu mogą zaszkodzić!”

Dla bezpieczeństwa radzi „kucharz” dodawać do wszystkiego — wina. Raki po Gaskońsku gotują się w winie szampańskim, ślimaki i „żabki na frykas” w winie białem. „Lejąc zaś do potraw rybnych wino, czyni smak w rybach lepszy i są do strawienia zdawniejsze.”

Wielką jest rozmaitość ryb morskich: „następujące gatunki są najczęściej używane: alosy czyli sardelę; kończyk mały; mrzewka morska lub szczuka; barwana albo brzanka; fazyan morski czyli bażant; dorsz; list morski; czeczuka; łyska, kaczka morska; głowacz morski; łosoś; ciele morskie; jaszczur czyli wrzeciennica; rak morski; paiak morski; kałton; płaszczka etc.etc.” Do ryb liczą się także „ostrzygi, ryby morskie bez skóry i ości... ludziom flegmatykom bardzo szkodliwe”. „Je się surowe, opiekane i robi się z nich bigos!”

Dobra gospodyni przyrządzać każe zawczasu buljon do potażów (rosolów) postnych.

(Kto wie, czy nie warto by i dziś spróbować na wsi tego starego przepisu, omijając tylko dodanie migdałów?)

Bullion z rył francuski.

„Oskrob linów z łuszczki, ociągniej ze skórki węgorka, szczupaka lub karpia, od tych poodcinaj skrzele, pokraj na dzwonka, ułóż to wszystko w du-

żym saganie lub garnku, nalej wodą, włóż masła, osól, przyday ziół przednich, cebuli szpikowanej goździkami, przez półtorej godziny gotując, precedź twój bullion przez chustę i podziel na trzy garczki:

W ieden włóż obranych grzybków, przepuść przez sito z gąszczem, mąką zrumienioną i kawałkiem cytryny zieloney, taki bullion użyć możesz do potażia rumianego.

W drugi garczek czyli rynkę włóż migdałów obranych, stłuczonych i żółtków z jajów twardo gotowanych — to będzie do potażiu białego.

W trzeciej rynce, przydasz ryby gotowane, iakie masz i z tymże bullionem podasz na stół”. Prócz tego ma znajdować się w spiżarni coś w rodzaju dziś używanego Maggi: Buljon z ziół:

„Włóż różnych ziół w garnek a to: kilka cebulków, bukiet z pietruszki, tymianku, bazyliki bobkowego liścia, goździków, obwiń pietruszką lub szczypiorkiem, żeby się w gotowaniu nie rozpruszył, przyday grzybków trochę siekanych, nalej wodą, osól, wrzuc skórę z chleba, dołóż masła, gotuj przez godzinę, precedź ten bullion przez chustę, użyjesz do potażiów różnych.

Możesz też zrobić potaż z kasztanów.

Upiecz kopę kasztanów, obierz z łupiny, ugotuj, nalawszy bullionem, zostaw z tychże cokolwiek na ugarniowanie, resztę utłucz w moździerzu, zrób z nich gąszcz, precedź przez sito, nalawszy bullionem postnym, zagotuj. Dasz potaż ciepły, obłożony kasztanami.”

Prócz owych „potażiów” znajdujemy w naszej książce różne „supy”, dziwiące nas swoją słodyczą: Jest „supa z czekolady z mlekiem” zaprawiona jajami i cynamonem.

„Supa postna z orzechów” tłuczonych, zalanych wodą różaną, zagotowanych z mlekiem i cynamonem. Korzeni i zapachów nie żałuje się, nawet do kartoflanki, do „supy” szparagowej „przyday imbiru i muszkatołowego kwiatu tłuczonego.”

Tak samo cukier napotkasz tam, gdzie się go najmniej spodziewasz np. w sosie śledziowym do ryb.

„Śledzie pokraj, niech namokną w winie, lub occie, potem usiekaj drobniutko, włóż w rospuszczone masło, zrumień trochę. Potem wlej do tego wina, niech się cokolwiek w nim zagotują, przyday cukru, muszkatołowego kwiatu i soku z cytryny, niech się to wszystko razem wysadzi; na wydaniu możesz wsypać cukru i całych kaparów.”

Znamy ponoś wszystkie staroświecki i dziwny już dzisiaj przepis przyrządzenia karpia ze słodkim sosem z migdałami i rodzynkami. Może kto spróbuje na odmianę „karpia z wiśniami”?

„...Do przysmażonego ma masło zrób sos z wiśni obranych z pestek pięknie, precedź ie trochę, z wodą roztaarte, wlej do tego szklanek wina, przyday cukru, cynamonu, goździków, niech się wszystko razem zagotuje i z karpim, gdy będzie gotowy, dasz na półmisek”.

Szczupak „po rzymsku” gotował się w winie szampańskim, „po francusku” zalewano go winem Burgońskim i „Ryńskim”, z ostrzygami, które „bardzo maleńko zagotuj”, „po moskiewsku” i „po prusku” gotowało się ryby w piwie i — wódce³⁾.

K. Biełańska.

¹⁾ Książka ta, napisana przez Stanisława Czerneckiego, kuchmistra Ossolińskich, licznych doczekała się wydań.

²⁾ O „arkasach” i innych postnych specjalach staropolskich napiszę później.

ŚWIĘTA WIELKANOCNE ZA TYDZIEŃ

Robić Święcone, czy się obejść bez niego? pytanie to zaprzęta głowy większości gospodyń z pracującej inteligencji, w tym roku szczególnie, kiedy o zarobek tak trudno, kiedy urzędnikom pobocinano pensje, kiedy w każdej niemal rodzinie jest ktoś pod groźbą redukcji, lub już zredukowany. Otóż, znając moich rodaków, a rodaczki przedewszystkiem, wiem, że odpowiedź zawsze będzie ta sama— to jest że Święcone będzie, tylko decyzja przyjdzie tak późno, bodaj że w Wielki Piątek dopiero i wtedy się wszystko będzie przeplacało, traciło masę czasu na wystawianie w przepelnionych sklepach, piekło ciasto i mięswo w nocy, masę rzeczy się nie uda z racji pośpiechu i t. d.

Poważne względy przemawiają za tem, aby Święcone urządzić. Nie mówię tu o żadnych zbytkach i ekscesach, ale wprost o upieczeniu pewnej ilości mięsów zimnych i ciast, któreby przez dni trzy, czy cztery, pozwoliły gospodyni i kucharce odpocząć od codziennego gotowania. Jeżeli takie Święcone, nie połączone z żadnym specjalnem przyjęciem, dobrze zaprojektujemy, obmyślimy i racjonalnie wykonamy, to może się okazać, że koszt jego nie przewyższy kosztu trzech, lub czterech zwykłych świątecznych, a zatem lepszych, wykwińniejszych obiadów, a odpoczynek własny i naszej kuchennej wyręczycielki będziemy mieli w dodatku. Więc przedewszystkiem kredkę, a raczej bardziej nowocześnie, ołówek w rękę i obliczyć, ile możemy wydać i co za to kupić możemy. To, co dla nas za drogę, bezlitośnie obcinać. Jeżeli nas nie stać na indyka, lub pularde, niechaj będzie zimna cielęcina, jeśli są drogie prosięta, kawał pieczeni z młodego wieprza niczem nie ustąpi im w smaku, nie możemy się zdobyć na całą szynkę, ugotujmy baleron.

Toż samo z ciastami, w tym roku z racji wysokich cen szczególnie migdały są nieprzystępnie drogie i jak to niestety u nas często bywa nietylko tureckie orzechy, ale i zwykłe włoskie, które włoskiego nieba nie widziały, a chyba dojrzały we Włochach pod samą Warszawą, skoczyły niepomiernie w cenę, dajmy więc, jeżeli nas na to nie stać, za wygrane mazurkom i tortom migdałowym i orzechowym. Możemy robić czekoladowe i kawowe, cytrynowe i pomarańczowe, (te owoce mimo to, że są rzeczywicie zagraniczne, dzięki umowie handlowej z Italją, zmuszającej nas do sprowadzania owoców wzamian za nasz węgiel są względnie tańsze), kruszki, piankowe, jabłeczne, makowe i rozmaite inne ciasto, wszak naszym gosposiom pomysłowości nie brak, a polskie krowy dostarczą masła i sera na wyborne placki, polskie kury jaj wyborowych, z polskiej pszenicy będziemy miały mąkę i żaden najbardziej zajadły członek „Ligi niezapominajki“ nie będzie mógł nic nam mieć do zarzucenia.

Po zrobieniu najściślejszego kosztorysu należy zrobić zakupy. Już niewiele dni do świąt zostało, ale zawsze dogodniej można wszystko nabyć na początku, niż w końcu Wielkiego Tygodnia. W tym roku święta są tak wczesne, że nawet drób i białe mięso będzie mogło dni kilka na balkonie, lub w jakim innem przewiewnem miejscu poleżeć bez obawy

zepsucia. Cielęciny można ułożyć w faszeczkę i zalać przegotowaną i ostudzoną dobrze wodą z solą, pieprzem i listkiem, przycisnąć telerzem, lub denkiem i jakimś ciężarkiem. Cielęcina w chłodnym miejscu może tak leżeć do dwóch tygodni, nie zmieniając koloru ani smaku, przeciwnie nabierając kruchości.

Barania pieczeń zamarynowana na dni trzy w lekkim occie z korzeniami, a następne trzy w kwaśnem mleku, potem naszpikowana i upieczona ze śmietaną doskonale nasładuje udziec sarni, kto woli może sobie comber w taki sposób urządzić. Przy nadziewaniu indyka, lub pulardy radzę poprobować do farszu z wątróbki dodać garść zmielonych orzechów włoskich, co znakomicie podnosi smak nadziewań. Kaczka domowa, nadziana farszem pasztetowym i upieczona, urozmaici zastawę stołu, na którym zwykle dominują mięsa białe. Jeżeli do niej zrobimy jeszcze sos „Cumberland“, w zupełności zastąpi owe dzikie ptactwo. Prawie wszędzie robią do święconego szpikowaną sztufadę wołową, natomiast prawie nigdzie nie podają rostbefu, tymczasem kilkakrotnie się przekonałam, że właśnie po zjedzeniu niezliczonych porcyj uświęconych tradycją szynek, cielęciny i indyka, nic tak jak rostbef nie smakuje. Robiąc barszcz na Święta nie należy go gotować na smaku od szynki, gdyż saletra sprawia to, że barszcz ten traci kolor i klarowność i jest mętny i białawy. Należy przechować smak od szynki oddzielnie i przed samem podaniem rozegrzać go i mieszać z oddzielnie ugotowanym, mocno czerwonym barszczem buraczanym. Z dróbek indyczych i kurzych, z golonki od pieczeni cielęcej należy ugotować czysty rosół, zdrowszy od barszczu i bardzo pożądany po zimnych mięsowach i ostrych sosach.

Wbrew przyjętemu zwyczajowi pieczenia mięsów w Wielką Sobotę radzę niektóre z nich przygotować wcześniej. Naprzykład szynkę najlepiej ugotować, lub upiec już w środę, natychmiast wyjąć z rosółu, gdyż, stygnąc w nim, staje się włóknista i smak traci, położyć na półmisek i wynieść natychmiast na chłód, stygnąc prędko, zachowuje soczystość i, stojąc dni kilka przed użyciem, staje się kruchą.

Pasztety też lepiej piec na dni kilka przed użyciem, gdy postoją, stają się ściślejsze i lepiej się krają. Prosię, indyka, pulardy i cielęciny oczywiście należy piec najwcześniej w piątek, a najpóźniej sobotę, bo po ostygnięciu i tak zwykle nieco opadają i tracą na wyglądzie, długo zaś stojące zupełnie by obeschły. Natomiast można w środę czy czwartek upiec prawdziwą, czy z baraniny imitującą sarninę. Mazurki, jako ciasta trwałe można piec już od poniedziałku, w każdym razie można w początku tygodnia popiec wszystkie podstawy z kruchego ciasta pod nie. Torty, a raczej ciasto do tortów można też upiec na początku tygodnia, zostawiając na sobotę smarowanie ich konfiturami, masami przeróżnymi, a głównie kremami maślanymi, które gorzkną długo stojąc. Ciasta drożdżowe najlepiej upiec w Wielki Piątek, w sobotę niema zwykle na nie czasu, a potrzebują starannego doglądu.

W sobotę mamy więc resztę mięs do upie-

„MÓJ KREM“ znak ochronny „Żmija“

1) działa jako środek ochronny na zmianę temperatury; 2) przeciw zmarszczkom; 3) dla wybielenia i wygładzenia skóry; 4) do masażu; 5) nadaje się do stałego użytku pod puder i róż

DR. J. ŚWITALSKIEJ
SKŁAD GŁÓWNY: TOW. AKC. KARPIŃSKI
Warszawa, ul. Elekoralna 35.

„MÓJ PUDER“

(puder ligjeniczny)

we wszystkich kolorach i odcieniach

czenia, jaja do ufarbowania i ciasta do ozdobienia, zgóry zaznaczam, że jestem nieprzyjaciółką lukrów, nie tych doskonałych ponczowych, cytrynowych i innych pomadek, tych polew kawowych i czekoladowych, które smak ciasta podnoszą, lecz tych białych skorup z cukru i białek, które każdy jedzący starannie odrzuca. Wszelkie kwiaty z cukru i krochmalu, wszelkie maczki kolorowe mają we mnie zaciętego wroga. Wszystko, co się używa do ozdoby ciast, powinno być smaczne i jadalne. Wszelkie, cy-

katy i owoce smażone, wszelkie konfitury osączone z syropu, czekoladki i marmeladki, orzechy i migdały ślicznie ubierają ciasto i dodają im smaku. Oczywiście orzechami ubieramy tort orzechowy, a nie cytrynowy, a czekoladkami czekoladowy, a nie poziomkowy — bo i w dekoracji należy pamiętać o uzgodnieniu smaku, wszelkie rzeczy niejadalne powinny być stanowczo ze stołu wielkanocnego usunięte. Naturalnie nie tyczy się to kwiatów i zieleni, które są konieczną tego stołu ozdobą.

Pani Elżbieta

TORCIK WIEDEŃSKI „PISCHINGER“.

Prawie w każdym sklepie delikatesów można obecnie dostać lekkich andrutów, zwanych w Warszawie opłatkami karlsbadzkimi. Ktoby na prowincji nie mógł ich dostać, niechaj zagniecie ciasto z półtorej szklanki mąki, pół szklanki cukru i takiej ilości śmietany, aby ciasto było twarde, jak na makaron. Rozwałkować to ciasto cienko, jak papier i upiec pod blachą pięć placuszków rozmiaru talerzyka deserowego. 20 deka czekolady utartej rozgotować w filiżance śmietanki, dodać łyżkę śmietankowego masła, wymieszać dokładnie i rozdzielić na dwie połowy. Do jednej dodać 10 deka zmielonych migdałów słodkich, lub też orzechów laskowych i smażyć dalej, aż nieco zgęstnieje, posmarować tą masą cztery andraty, złożyć jeden na drugi, piątym przykryć. Drugą połowę przesmażyć oddzielnie, gęstniejącą posmarować wierzch i boki torciku, zanim zastygnie polewa, ubrać kilku migdałami, lub orzechami, załóż od tego czego dodałyśmy do masy.

MAZUREK JABŁECZNY.

Bardzo dobry, lekko strawny mazurek, dla osób, którym zwykle ciasta wielkanocne szkodzą. 30 deka masła utrzeć na śmietaną, dodać tyleż cukru pudru, dwa jaja całe, dziesięć gorzkich migdałów oparzonych, oczyszczonych i zmielonych na maszynce, i tyle mąki (około pół kilo), aby się dało zamiesić, ładne, kruche ciasto. Rozwałkować z tego placek, gruby na mały palec i upiec do lekkiego zrumienienia w piecu. Kilo jabłek kwaskowych (najlepsze renety, albo antonówki) obrać z łupin, pokrajać w talarki, 40 deka cukru i szklankę wody zagotować na ulep, wrzucić jabłka i skórkę z jednej cytryny otartą na tarce, smażyć wciąż, mieszając, aż marmelada stanie się przezroczystą. Próbować na zimnym talerzu, gdy kropla zastyga, marmelada ma dosyć. Nałożyć ją gorącą na kruchv spód, ładnie zrównać, przybrać gorącą jeszcze paskami smażonej skórki cytrynowej i pomarańczowej i wynieść na chłód na godzin kilka.

MAZUREK CYGAŃSKI (BEZ MĄKI).

Dwa żółtka utrzeć ze szklanką cukru na gęstą, białą masę, wsypać w to szklankę koryntek, szklankę migdałów krajanych w paski, pół szklanki skórek pomarańczowych smażonych, pokrajanych jak najdrobnie, skórkę otartą na tarce i sok z jednej cytryny, dodać białka (może być cztery do pięciu bia-



łek), wymieszać ostrożnie, ułożyć na opłatku i upiec w bardzo wolnym piecu, aby więcej sechł mazurek, niż piekł się właściwie.

PLACKI DROŻDZOWE.

Półtora kilo najlepszej, suchej mąki, rozczynić letniem mlekiem i piętnastu deka drożdży na dosyć gęsto, postawić przykryte płótnem w ciepłe. Gdy rozczyn ruszy, dodać dwadzieścia żółtek ubitych z pół kilo cukru, dwucalowy kawałek wanilii utłuczonej z cukrem, jeszcze kilo mąki, (lub nieco więcej, aby ciasto było dosyć gęste), wlać dwie filiżanki herbatnie sklarowanego masła i wyrabiać tak długo, aż ciasto od ręki odstanie. Dać ponownie wyrosnąć. Gdy wyrosnie rozciągnąć na blasze posmarowanej masłem i osypanej bułeczką. Nawierzch układać masę migdałową, lub serową, śliwki ugotowane w gęstym syropie, plastry pomarańczy usmażone jak na konfiturę, morele surowe podduszzone w lekkim syropie, jabłka oczyszczone i pokrajane w grube plastry i przysypane cukrem z cynamonem, czy inne dodatki, które mamy do placków. Z tej proporcji wychodzą cztery duże placki. Z reszty ciasta robimy cieniuchne wałeczki, okładamy nimi brzegi placka i rzadką kratką na wierzchu, wszystko smarujemy żółtkiem rozbitym, dajemy jeszcze dobrze podrosnąć i stawiamy w piec napalony, jak na baby.

Z tego samego ciasta można upiec przekładanec, dzieląc ciasto na kilka równych części. W głębokiej blasze kładziemy warstwę ciasta i na niej układamy wałeczki z masy migdałowej, lub orzechowej, przygotowanej jak na marcepaty, daktyle bez pestek i figi krajane w paski, cykaty różne krajane, skórki cytrynowe i pomarańczowe smażone, krajane w paski, konfitury różne osączone z soku, paski sera jabłecznego i t. d. Na to idzie warstwa ciasta, potem znów słodycze i t. d. Ostatnia warstwa jest z ciasta. Taki przekładanec powinien długo rosnąć i piec go należy w bardzo gorącym piecu, narazie przykrywając blachą, wilgotnym papierem i stawiając ją na wysokiej cegle, aby się nie przypalił od góry, ani od dołu. Piec go należy przynajmniej półtorej godziny, próbując patyczkiem, jak zwykle, drożdżowe ciasto.

BABKA MIGDAŁOWA TANIA.

Trzydzieści deka cukru utrzeć do białości z dwunastu najświeższymi żółtkami. Dziesięć deka migdałów słodkich i dziesięć sztuk gorzkich sparzyć, oczyścić, osuszyć dobrze w serwecie i zemleć na maszynce, zmieszać to z masą żółtkową, wcisnąć sok

z dużej cytryny, wsypać dwadzieścia deka mąki kartoflanej, wyrobić doskonale. Ubić bardzo sztywną pianę z piętnastu białek, zmieszać ostrożnie z masą migdałową. Wlać do formy wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką, piec w dosyć gorącym piecu, po trzydziestu minutach próbować ostrym patyczkiem, jak każde ciasto. Na drugi dzień można tę babkę ulukrować lukrem cytrynowym, lub pończowym. Zamiast migdałów można użyć ćwierć funta (dziesięć deka) orzechów włoskich, albo tyleż dobrej czekolady utartej. W ostatnim wypadku należy też dodać trochę utłuczonej z cukrem wanilii.

PROSIĘ PIECZONE NA ZIMNO.

Prosię starannie oczyszczone wymoczyć przez noc całą w zimnej wodzie, jeśli można z lodem. Farsz zrobić następujący: wątróbkę prosięcia, płuczkę, serce i nerekę, pół wątróbki cielęcej, pół funta miękkiej cielęciny, lub młodej wieprzowiny, sześć cebul, i kawałek przerastającego boczku udusić z masłem, lub szmalcem do miękkości. Dodać kilka ziarn pieprzu, ziela i jeden listek, jeszcze przed duszeniem, przepuścić to dwa razy przez maszynkę wraz z czterema bułeczkami (warszawiankami), wymoczonemi w mleku. Wbić cztery całe jaja, dodać nieco skórki cytrynowej, utartej na tarce i pół gałki muszkatołowej, także utartej. To jest spora ilość farszu, gdyż prosię używane do pieczenia, powinno być duże i tłuste. Z prosiąt mniejszych i chudszych lepiej od razu zrobić galaretę, po upieczeniu skórka się na nich zapada i robią się niepozorne, co szczególnie na święcone jest niepożądane.

Gdy farsz gotów, osolić prosię wewnątrz, po-próbować czy dosyć słony, kto lubi może wlać jeszcze kieliszek koniaku, lub węgryna, — nadziać prosię, zaszyć mocnymi nićmi, łapki podwinąć, ułożyć na brytwannie na skrzyżowanych drewniakach, aby od dołu się piekło, a nie parzyło. Posmarować masłem i piec pod blachą, smarując często kawałkiem surowej słoniny, i podlewając na brytwannie nieco wody, aby się tłuszcz nie palił. Posmarowanie prosięcia oliwą przed pieczeniem ma dobrze wpływać na kruchość skórki, oliwa powinna być bardzo świeża, aby nie pozostawiła smaku. Duże prosię piecze się od 2½ do 3 godzin. Gdy całe jest ładnie zrumienione, należy próbować szpikulcem w najgrubsze miejsce. Jeśli płynie mętna surowica, prosię niegotowe jeszcze, gdy czysty tłuszcz, można je wyjąć i wynieść zaraz na chłód. Chcąc włożyć prosięciu jajko do pyszczka, należy przy pieczeniu włożyć doń grube drewnienko, które się potem usuwa i zastępuje jajkiem.

Pani Elżbieta.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 12

239. Kapelusz z rypsu, przybrany krossami.
240. Kapelusz, przybrany wstążką.
- 241 242. Skromne kapelusze wiosenne.
243. Płaszczki ciemnozielony dla dziewczynki czternastoletniej.
244. Kostjum z plisowanemi bokami, naszyta z rypsowej wstążki.
245. Kostjum z kasha, koloru palonego migdała.
246. Paltocik dla dziewczynki czternastoletniej.
247. Fantazyjny paltocik dla dwunastoletniej dziewczynki.
248. Palto z wełny w kratę i z gładkiego sukna.
249. Suknia z plisowanym przodem, kołnierz i bufa jaśniejsze, naszyte ciemną plisą.
250. Paltocik dla trzynastoletniej dziewczynki.
251. Modne fasony czepeczków.
252. 253. Kombinacje dla dziewczynki dziesięcioletniej.
254. Szlafrok z woalu ponsowego, falbanki i szarfa czarne.
255. Koszula nocna, przybrana mereżką.
256. Laufer, haft richelieu.
257. Wzór na szal, haft kolorowy na crêpe de chine'ie.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku MÓD, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr., są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczone w zmniejszeniu w dodatku mÓD i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50,
poduszka — serwetka — zł. 1,50,
drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu“ nie wysyłamy.



Quaker Oats to nie zwykłe płatki owsiane, lecz specjalnie sporządzone, w swej jakości nie do porównania z innymi.

Potrawy sporządzone z tego delikatnego środka odżywczego spożywa każdy z prawdziwą rozkoszą.

Quaker Oats są do nabycia tylko w paczkach.

Quaker Oats

„LAMBRO“ Sp. z ogr. odp. Warszawa. Niecała 8 tel. 76-56.



MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALJĘ



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

TOW. AKC. **Fr. KARDPIŃSKI** W WARSZAWIE



Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównyduje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

**ZBIÓR TEN JEST NIEZBĘDNY
W KAŻDYM OSZCZĘDNYM I RZĄDNYM
DOMU**

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

Matki dbające o higienę dzieci
używają
MYDŁO HIGJENICZNE
i
PUDER „DLA DZIECI”

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO
Warszawa, Nowy Świat 31.

NOWOŚCI WIOSENNE

nadeszły
Wysyłka prób i zיעzeń ponad 25 zł. **BEZPŁATNIE.**

BRACIA JABŁKOWSCY
WARSZAWA, BRACKA 25.

NA RATY I ZA GOTÓWKĘ!

Najtaniej! Wełniaki i kilimy, **Najtaniej!**
artystyczne wyro-

by z drzewa, pudełka

Polaca sklep Sekcji Przemysłowej—Marszałkowska 84.



MYDŁO KONIK
LILJOWO MLECZNE
CIESZY SIĘ OD PÓŁ
WIEKU NAJWIĘK-
SZYM POWODZENIEM
CAŁEGO ŚWIATA
KULTURALNEGO
UDELIKATNIA I
ODŚWIEŻA CERĘ

WYTWÓRNIA WYROBÓW GAL. PLATEROWANYCH (POSREBRZ.)

„STYLPLATER”

SIEDLCE (podl.), KILIŃSKIEGO 27a, dom własny. Skrz. pocz. 51.

Wykonuje: Pełny komplet nakrycia stołowego na 6 osób podwójnie srebrzony w stylu „Ludwika XVI”:

Razem z premjami	6 łyżek stołowych	zł. 14.40
33 sztuki za	6 widelcy stołowych	„ 14.40
zł. 54.90.	6 noży stołowych	„ 16.50
	6 łyżeczek do herbaty	„ 9.60

Razem zł. 54.90

PREMJJA BEZPŁATNA!

Do każdego kompletu: 1) 6 łyżeczek do kawy, 2) 1 szufelka pozł. do cukru, 3) 1 opatka do kryształu i 4) 1 widelczyk do cytryny. Wysyła się za zaliczeniem.



ZAWIADAMIAMY SZ. PANIE PRENUMERATORKI, ŻE W ADMINISTRACJI NASZEJ SĄ DO NABYCIA DOŁĄCZANE DO „BLUSZCZU” W LATACH 1924 I 1925

ARKUSZE WZORÓW

naturalnej wielkości robót ręcznych do kopjowania

ARKUSZE TE MOŻNA NABYWAĆ KOMPLETAMI NIE MNIEJ 6 SZTUK W CENIE 30 GR. ZA ARKUSZ, NA KOSZTA PRZESYŁKI POCZTOWEJ KOMPLETU NALEŻY NADEŚLAĆ 20 GROSZY

KOMPLET ARKUSZY Z 25 SZTUK KOSZTUJE 7 ZŁ., Z PRZESYŁKĄ 7 ZŁ. 50 GR.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14 zł. 40 gr.
Miesięcznie—4,80 gr. Zagranicą—8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{1}$ —450 zł., $\frac{1}{2}$ str.—260 zł.,
 $\frac{1}{4}$ str.—150 zł., $\frac{1}{8}$ str.—80 zł., $\frac{1}{16}$ str.—45 zł.,
 $\frac{1}{24}$ str.—30 zł. Za tekstem o 50% drożej.

Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.